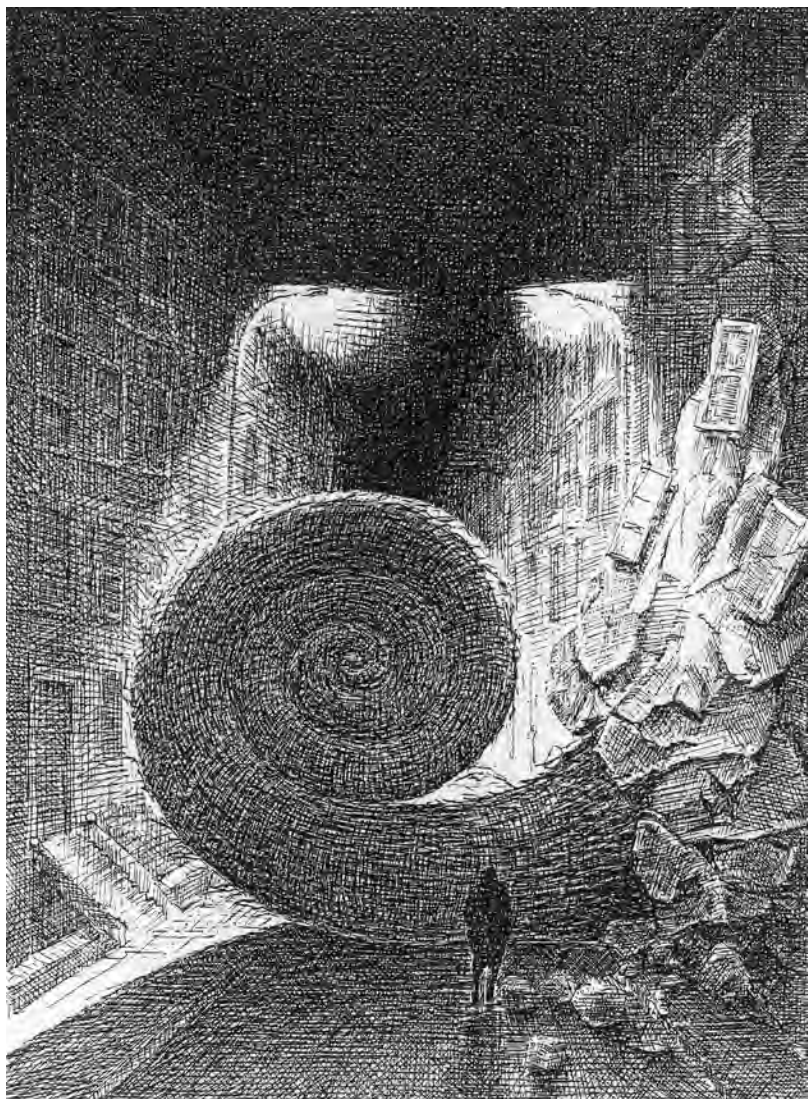


LECH MAJEWSKI
SZCZURY
MANHATTANU

LECH MAJEWSKI
SZCZURY MANHATTANU



LECH MAJEWSKI
SZCZURY MANHATTANU

*For he led us, he said, to a joyous land,
Joining the town and just at hand,
Where waters gushed...*

Robert Browning
The Pied Piper of Hamelin

1

Dostaniesz posadę recepcjonisty w renomowanym hotelu Waldorf Astoria: każdego dnia wejdiesz w łagodny granat głównego hallu i miniesz rząd białych kolumn oplecionych złotymi węzami, by stanąć za kontuarem z czarnego marmuru gotów na obsłużenie setek gości. W hallu, odgrodzonym od miasta grubymi murami, zalanym niezmiennym blaskiem sztucznego światła, traci się poczucie czasu (odmierzają go jedynie przyływające i odpływające fale gości), postarasz się jednak o nocne zmiany. Unikniesz w ten sposób nadmiaru obowiązków, powtarzających się pytań, gestów i odpowiedzi.

Śledząc linię złotych węży zaplątanych w kamienne kwiaty, oprzesz się o kontuar i, któryż to już raz, będziesz starał się zrozumieć, dlaczego z trwającego pięć lat związku z kobietą, którą kochałeś, z wyznań i planów zostały jedynie bolesne rany. I czemu znienawidziliście się do tego stopnia, że zmuszony byłeś wynająć małe mieszkanie na Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej, by zamknąć się w samotności, niewierze i rozpacz.

Wiesz, że po pracy wstąpisz jak co dzień do małej pizzerii na Drugiej Alei, zamówisz *veal parmigiana*, spluczesz go zimną colą i pójdziesz prosto do domu, by zwalić się na łóżko i spać. Spać jak najdłużej, śniąc natrętne i mroczne obrazy. W jednym z nich na moście zawieszonym ponad zamgloną przepaścią stoi kobieta

odwrócona plecami. W innym w głębi wilgotnego lasu pulsuje neon o barwie przezroczystej krwi. Jeszcze w innym środku łąki kroczy mężczyzna, a rdzawa chmura nad jego głową otacza go równomiernym cieniem.

I wiesz, że obudzisz się, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Przypominasz sobie, jak któregoś wieczoru zwlokłeś się z łóżka, poszedłeś do kuchni i na wiszącym nad stołem kalendarzu nagryzmoiliłeś krótki tekst, któremu nadałeś tytuł HISTORIA MIŁOŚCI. Składał się z trzech zdań: „Po ulicach chodzą ludzie i zadają ciosy nożami. Lecz wpiętych do siebie i pieszczą. Dopiero później kaleczą”. Te pretensjonalne zdania zapadną ci głęboko w pamięć. Będziesz powtarzał je po cichu nawet w największym tłoku.

W czasie służby musisz stykać się z gośćmi hotelu, ale są to kontakty czysto formalne, właściwie nieistniejące. Ledwo skręcasz w przeczynę, przy której znajduje się twój dom, modlisz się, by nie natknąć się na portiera, Serba w średnim wieku, który na twój widok gotów jest przymilać się łamaną angielszczyzną. Czekając na windę, rozglądasz się niespokojnie w nadziei, że nie nadejdą inni, a gdy musisz jechać w towarzystwie, odwracasz się, by studiować zawilgość mozaiki art déco na suficie windy.

Może dlatego nie uświadamiasz sobie wrażenia, jakie wywiera na tobie jego niespodziewane pojawienie się, gdy któregoś z tych ponurych dni wsiada do windy i staje tuż obok. Najpierw przypatrujesz się długiemu płaszczowi, potem dostrzegasz jasną, delikatną twarz. Ma najwyżej trzynaście lat; mimo wątłej budowy jest wyrośnięty. Zanim wysiądzie na czwartym piętrze, przez ułamek sekundy spojrzy na ciebie wilgotnymi oczyma przypominającymi ślepią sarny. Wystarczająco długo, byś dostrzegł zarzewie buntu tłące się w głębi jego źrenic.

Pogrążony bez reszty w konstruowaniu misternych planów powrotu do kobiety, której nie przestałeś kochać, prawie nie zauważysz, że owo spojrzenie zdoła przebić się przez warstwy mrocznych myśli niczym światło księżyca przez zasłonę nocy. Tego wieczoru bowiem, jak co dzień, będziesz czekał na jakąś wiadomość, list lub telefon, tłumacząc sobie, że tych pięciu lat spędzonych z Galią nie można po prostu wymazać z pamięci, że musi nadejść dzień, w którym znajdziecie się razem na zatłoczonej Pięćdziesiątej Siódmej lub w jakimś zakątku Central Parku, a wtedy obejmiecie się i zapomnicie o waszych ranach.

2

Na dziennej zmianie, mimo zwykłego o tej porze nadmiaru gości i rutynowych obowiązków, czujesz się lepiej. Zajęty wydawaniem kluczy obserwujesz z rozbawieniem, jak twarze biznesmenów, wykrzywione sztucznymi uśmiechami, tężeją w bólu, gdy między ich wyciągniętymi do uścisku dłońmi przeskakują iskry z naelektryzowanych powierzchni nowych dywanów.

Zza kryształowego parawanu obejmującego Peacock Alley dochodzą dźwięki fortepianu. Nucąc pod nosem, postanawiasz po zakończeniu służby pojechać do Galii. Nie, nie chcesz do niej dzwonić, uprzedzać o wizycie. Wiesz dobrze, że zaraz zaczęłaby coś podejrzewać, a odmowa byłaby dla ciebie nie do zniesienia.

Rzucasz spojrzenia w głąb hallu, tam gdzie stoi masywny zegar pokryty płaskorzeźbami; jego cztery tarcze, zwrócone na cztery strony świata, zwieńcza pozłacana miniatura Statuy Wolności wsparta na mosiężnych orłach ze skrzydłami gotowymi do lotu. Jak dotąd było to jedyne miejsce, którego starannie unikały twoje oczy. Ale tego popołudnia spoglądasz na rzeźbę z ufnością.

3

Kilka godzin później prawdziwa Statua Wolności ukaże się za oknem promu płynącego w kierunku Staten Island, gdzie w niedużym, omiatanym atlantycką bryzą domu jeszcze nie tak dawno mieszkałeś z Galią. Kołyszący się prom, wypełniony uczniami i gospodyniami wracającymi z zakupów, przypomina ciemną poczekalnię prowincjonalnego dworca. Wciśnięty w kąt twardej i lepkiej ławki próbujesz dojrzeć przez zapocone okno światło pochodni. Z trudem odnajdujesz tamto wzruszenie, kiedy zobaczyłeś statwę po raz pierwszy, niczym obraz z zapamiętanych filmów. Miałeś nadzieję rozpocząć wszystko od nowa; niedługo potem poznałeś Galię.

Prom cumuje u nabrzeża Świętego Jerzego, a ty, zdjęty trwogą, nie masz siły się podnieść. Nie wiesz, czy wysiąść, czy wracać na Manhattan. To drugie rozwiązanie pociąga za sobą spotkanie z portierem, sąsiadami i fiolką tabletek nasennych, które i tak cię nie uchronią przed zmorami nocy. Zbierasz więc resztki sił i ruszasz w stronę trapu.

Przejdiesz wolnym krokiem całą Bay i dopiero przy Clinton wyciągniesz rękę na widok przejeżdżającej taksówki. Siedząc w odrętwieniu, starasz się przywołać z pamięci bardziej radosny obraz, ale bez powodzenia. Prosisz kierowcę, żeby stanął kilka przecznic wcześniej. Wsiadasz. Krew w skroniach pulsuje coraz silniej i nie

umiesz powstrzymać narastającego drżenia. Wiesz, czego się boisz. Boisz się, że Galia już nie mieszka sama. Drzwi otworzy ci jakiś obcy facet, zapyta, czego chcesz, a ty nawet nie będziesz miał prawa dać mu w mordę.

W domu nie ma nikogo. Dzwonisz jeszcze kilka razy i wlepiasz wzrok w okno jej pokoju, usiłując dojrzeć jakiś cień za firanką. Będziesz stał cały kwadrans koło furtki, po czym zaczniesz chodzić tam i z powrotem wzdłuż płotu okalającego ogród przed drewnianym jednopiętrowym domkiem. Usłyszysz z oddali jęk syreny. Odwrócisz głowę w stronę zatoki, lecz nie zobaczysz żadnego statku. Jedynie na wydmie porośniętej kępami traw dostrzeżesz stado mew zajętych dziobaniem psiego ścierwa.

Postanawiasz napisać list. Układając w głowie jego treść, szybko dochodzisz do wniosku, że pogorszysz i tak już beznadziejną sytuację. Będzie lepiej, jak po prostu odejdziesz. Mijając stado mew, odkrywasz ze zdumieniem, że to, co dziobią, nie jest ścierwem psa – jest ścierwem ogromnego szczura.

4

Wracasz na Manhattan wściekły. Nie spoglądasz nawet, gdy prom przepływa obok Statuy Wolności. Masz dosyć tych wszystkich zabiegów, by zbliżyć się do Galii. Po wyjściu z przystani chcesz zadzwonić do kogoś ze znajomych. Wchodzisz do budki, wertujesz książkę telefoniczną, by za chwilę zrezygnować z poszukiwań. Z kim właściwie chciałbyś się spotkać i dlaczego? Aby znaleźć się w towarzystwie tych, którzy przypomną ci twoją przeszłość? I tak nie unikniesz pytań o Galieę.

Wędrujesz alejkami Battery Parku tylko po to, by nie wracać do domu. W końcu wmawiasz sobie, że najlepszym wyjściem, niemal zbawieniem, mogłoby dla ciebie być coś równie podłego jak twój nastrój, i po kwadransie jazdy metrem, na Times Square, skręcasz w wilgotny korytarz do kruszejącej salki kina porno.

Z biletem w rękę wspinasz się wąskimi schodami na drugie piętro. Przy wejściu wita cię tęga brunetka. Jej ciało wylewa się z obcisłego bikini, a spod czerwonych majtek wystają kępki grubych, kręconych włosów. Pociągając delikatnie za jedną z nich, pyta, czy nie masz przypadkiem ochoty na prywatny pokaz na zapleczu. Gapiąc się na złuszczony lakier jej paznokci, odpowiadasz, że jeszcze się zastanowisz, może po seansie, i wchodzisz na salę.

Ekran wypełniają ciała czterech par poruszających się w rytm muzyki klasycznej. Właśnie trwa wyścig o to, która z pań najszybciej

wyśsie swego partnera. Wśród zawodników biega nerwowo łysawy facet; mierzy czas na stoperze, gratuluje zwyciężczyni, a potem wręcza jej nagrodę w kształcie złotego fallusa. W kolejnej rundzie panowie wysysają swoje partnerki. Widzowie zajmujący pierwsze rzędy rechoczą po każdej wypowiedzi sędziego. Tuż przed tobą chrapie Murzyn ubrany w kurtkę ze sztucznego futra. W trakcie seansu po sali krąży szóstka dziewcząt proponujących widzom dodatkowe atrakcje na zapleczu. Niektórzy podnoszą się z foteli i podążają za swymi kusicielkami w kierunku drzwi, zza których, jak krew z rany, sączy się purpurowe światło.

Zamykasz oczy i przywołujesz z pamięci obraz Galii. Widzisz, jak stoi rozebrana w półmroku pokoju, który wynajęliście na parę dni w tanim hotelu w Montrealu. Przyciskasz ucho do jej piersi, pragnąc wsłuchać się w coraz szybszy rytm jej serca. Otwierasz oczy i widzisz jej brzuch zasłaniający ekran. Zaskoczony unosisz głowę.

Naga Murzynka uśmiecha się i proponuje ci prywatny seans. Odmawiasz. Murzynka znika w ciemnościach, by w przerwie między pierwszym a drugim filmem pojawić się pod ekranem na niewielkiej estradzie. W świetle starego reflektora kołysze biodrami, a ty myślisz, że jej figura i wyraz twarzy w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób przypominają ci Galie. Wkrótce na estradzie zmienia ją dziewczyna, która sprawdzała bilety. Zdejmuje bikini i odrzuca je za siebie, wywołując aplauz widowni. Gwizdami i okrzykami mężczyźni wyrażają podziw dla gęstości jej owłosienia. Interludium kończy się występem apatycznego tria. Dziewczyny rozbierają się niedbale, nie patrząc nawet w stronę widzów. Każda z nich ściska pod pachą torebkę.

Akcja kolejnego filmu rozgrywa się w luksusowo urządzonym apartamencie na najwyższym piętrze drapacza chmur. Za panoramicznymi oknami pada śnieg, podczas gdy w basenie z podgrzewaną wodą pluskają się dwie nimfy. Wokół nich kwitną egzotyczne rośliny,

a dziewczęta wychodzą na brzeg, całują się i pieszczą, posyłając do kamery uśmiechy pełne udawanej rozkoszy. Zabawiając się, czekają na przybycie chłopca na posyłki, osiłka o twarzy imbecyla i imponujących genitaliach.

Odwracasz oczy od ekranu i usiłujesz odnaleźć znajomą sylwetkę Murzynki. Przechadza się wzdłuż rzędów foteli i natychmiast podchwytuje twoje spojrzenie. Podchodzi do ciebie, uśmiecha się. „Chcesz mnie?” Nie odpowiadasz. „Chodź!” – nalega i bierze cię za rękę przekonana, że nie stawisz oporu. I nie myli się. Pozwalasz się prowadzić w stronę krwawiącego światła drzwi.

Długi korytarz zakręca kilka razy; mijasz szereg wąskich drzwiczek i docierasz do pokoiku, którego tapetę w kolorze brudnej róży wyrzuciła panująca wszędzie wilgoć. Pośrodku stoi kozetka obciągnięta płachtą folii załatanej taśmą klejącą. W rogu, przy ścianie, są jeszcze miska z wodą oraz blaszane pudło z papierowymi ręcznikami.

Folia chrzęści, gdy dziewczyna sadza cię na brzegu kozetki i wsuwa rękę do wewnętrznej kieszeni twojej marynarki. Wyłuskuje portfel, ślini palce, odlicza osiemdziesiąt dolarów, wszystko, co masz przy sobie, i wachluje się plikiem banknotów, czekając na twoją reakcję. Nie sprzeciwiasz się. Dziewczyna chowa pieniądze do torebki, a ty, zapałszy w jej ciemną sylwetkę obrysowaną światłem czerwonej żarówki, widzisz Galie, jak nago przechadza się po pokoju i zatrzymuje w wystudiowanej pozie. Galia zbliża się, klęka i zaczyna rozpinąć ci spodnie. Powstrzymujesz ją łagodnie, osuwasz się na kolana i wtulasz głowę w jej piersi. Czujesz, jak pod rozpaloną skórą bije jej serce.

Zamykasz powieki – twoje ciało pulsuje tym samym głuchym, nieprzerwanym rytmem – a wtedy słyszysz cichy chrobot i stłumiony pisk. Otwierasz oczy. Dopiero po paru sekundach dostrzegasz

pod ścianą cień szczura. Stoi na tylnych łapkach i węszy dokoła. Dziewczyna krzyczy i ciska w intruza torebką. Nie trafia. Torebka uderza o ścianę tuż ponad zadartym pyskiem, rozsypując garść banknotów. Szczur obwąchuje jeden z nich, chwytą go w zęby i bez pośpiechu odpędza w ciemny kąt.

Zapominając o tobie, Murzynka zrywa się z kolan i nerwowo zbiera pieniądze, jakby w obawie, że inne szczury, przyczajone teraz w swych kryjówkach, nagle wyskoczą i rozkradną cały jej majątek. Ogarnięty wstrętem wychodzisz.

Włóczysz się bez celu do późnej nocy, nieuchronnie zbliżając się do mieszkania. Gdy skręcasz we Wschodnią Sześćdziesiątą, słyszysz wysoki wibrujący ton, rozcinający ciszę ulicy niczym ostrze brzytwy. Zatrzymujesz się. Dźwięk odbija się echem pośród wysokich ścian, ale nie potrafisz dojrzeć, skąd dochodzi. Dopiero przy skrzyżowaniu z Drugą Aleją wyławiasz z mroku postać grającą na kornecie. Pamiętasz go, tylko jeszcze nie wiesz skąd. Podchodzisz bliżej i rozpoznajesz chłopca, którego spotkałeś w windzie. Ma na sobie nawet ten sam przydługi płaszcz.

Chłopiec przestaje grać i spogląda na ciebie, a ty myślisz, że zbyt pochopnie obliczyłeś jego wiek. Jego twarz jest twarzą tak dziecka, jak i starca. Mamroczesz „Przepraszam” i odchodzisz.

5

Gdy tylko zjawisz się w hotelu, dowiesz się, że Neil Stainton, jeden z nocnych portierów, został zwolniony z pracy. Jakaś szwajcarska turystka poleciała na skargę do dyrektora, ponieważ Neil upuścił jej walizkę, do której zapakowała rzekomo cenny wazon. Również niedawno pewien niemiecki przemysławiec żalił się, że Neil był pijany w czasie służby. Tak więc szef wpadł w szal.

Pocziwy, stary Neil. Dla każdego miał dobre słowo. Kto znalazł się w kłopotach, zawsze mógł liczyć na jego pomoc. To prawda, że gardził nuworyszami, którzy traktowali go z góry, żądając jedynie służalczości. Dla nas Neil był żywym symbolem dawnych, wspaniałych czasów Waldorf Astorii. Był kimś.

Pochodził z Surrey, gdzie jego matka pracowała jako kucharka w rodowej posiadłości lorda Hardy'ego-Earle'a. Tam Neil wychował się i nabrał manier: lubił popisywać się opanowanym do perfekcji akcentem angielskiej arystokracji i gardłował wówczas z wyciągniętą szyją niczym indyk. Od śmierci żony, którą potrafiła ciężarówka na Czterdziestej Szóstej, Neil zmienił się nie do poznania. Gdy wcześniej pozwalał sobie na żarciki na jej temat, czy w ogóle pokpiwał z instytucji małżeństwa, od tamtej tragedii zamknął się w sobie i stał się roztargniony do tego stopnia, że każde polecenie trzeba było mu powtarzać kilka razy. Szef miał już tego dosyć. Znalazł pretekst i wylał Neila na zbity pysk.

Laura, zmienniczka z recepcji, opowiada ci o tym, a ty żałujesz starego, wiedząc, ile nieszczęść zważyło mu się na głowę w ciągu jednego tylko roku. Na pożegnanie Neil przynosi bukiet kwiatów i bombonierkę, a potem, udając, że nic wielkiego się nie stało, zakłada gumową maskę Reagana: nie po to, by nas rozbawić, lecz by ukryć wzruszenie. Odchodząc, pyta, czy nie miałbyś ochoty wpaść do niego na kielicha. „Czemu nie, tylko kiedy?” „Choćby dzisiaj” – odpowiada.

Zajęty porządkowaniem rezerwacji nie zauważasz, że przy kontuarze stoi szpakowaty mężczyzna; wystrojony w płócienną marynarkę, z wyszytym na rękawie emblematem Yves St. Laurenta, bawi się z włochatym stworzeniem, które postawił wcześniej na ladzie recepcji. Podnosisz głowę znad rejestru i widzisz, że stworzenie ozdobione różową wstążeczką jest najprawdziwszym szczurem, tyle że oswojonym. Mężczyzna podnosi go ostrożnie, całuje w pyszczek, a potem czeka, aż szczur polizze jego gładko wygolony policzek. Stawiając szczura na kontuar, zwraca się do ciebie uprzejmie z francuskim akcentem: „Lubi pan zwierzątko?”

Odpowiesz, że nie, lecz Francuz nie zamierza odejść, tylko dalej uśmiecha się porozumiewawczo. Wiesz, że powinienes go grzecznie poprosić, by natychmiast schował szczura, którego widok mógłby wywołać niepotrzebną panikę, ale nie odzywasz się ani słowem. Nikt nie zwraca na was uwagi, prawdopodobnie dlatego, że szczur ma długą, puszystą sierść i kolorową kokardę. Tak czy owak, goście Waldorf Astorii przyzwyczajeni są do rozmaitych dziwactw.

Odwracasz się i udajesz zajętego segregowaniem poczty. „Szkoda, że nie lubi pan szczurów... – słyszysz za sobą. – Kocham moją Sissy bardziej niż Paryż... Kiedy urządzam przyjęcie i gości ogarnia nuda, przynoszę Sissy i zabawa rozkręca się od nowa... Raz w roku – ciągnie niezrażony brakiem twojego zainteresowania – zapraszam wszyst-

kich przyjaciół na jej imieniny do naszego domu w Wenecji. Sissy paraduje wtedy w specjalnym kapelusiku... To już niedługo, prawda, moja mała? – mruczy do swego szczura. – Nasi przyjaciele nie mogą się już doczekać... A propos – zwraca się do ciebie – był pan kiedyś w Wenecji?” Kręcisz głową. „Niemożliwe! Musi pan koniecznie pojechać... Najlepiej z kimś, kogo pan kocha. Może się pan zatrzymać u mnie w domu... Ach, cóż to za wspaniałe miasto!” – wykrzykuje podekscytowany.

„To miło z pana strony – mówisz oficjalnym tonem. – Czy mogę panu czymś jeszcze służyć?” Nie reagując na twą lodowatą formułkę, Francuz głaszcze Sissy po grzbiecie. „Chyba wybiorę się dziś do Metropolitan Museum – rzuca jakby od niechcenia. – Wie pan, że przypomina mi ono amerykański sandwicz? Ogromne, wszystko ze sobą pomieszane i bez smaku.”

Zbierając się do odejścia, Francuz przytula Sissy do piersi i mówi z zagadkowym uśmiechem: „Widzę, że pan cierpi”. Opuszczasz oczy, czerwienisz się. „A może kupi pan sobie małego szczura? – kontynuuje. – Nauczy się pan nim opiekować, pokocha go. Proszę mi wierzyć, nic już pana nie będzie niepokoić. Szczury to bardzo inteligentne stworzenia.”

Czujesz się tak, jakbyś śnił jeden ze swych natrętnych koszmarów – tu, pośrodku recepcji hotelu Waldorf Astoria, który jest centrum Manhattanu, który jest pępkiem świata – a gdy Francuz salutuje i odchodzi, zdajesz sobie sprawę, że w tym stanie ducha tylko krok dzieli cię od podjęcia kolejnej desperackiej wyprawy na Staten Island.

Myślisz gorączkowo, jak temu zapobiec. Może skorzystać z zaproszenia Neila? Ale zapomniałeś zapytać go o adres. Z biura dyrekcji właśnie wraca Laura. Niestety i ona nie wie. Trzeba będzie zapytać kogoś, kto zna go dłużej.

Wskazując na swój aparat słuchowy, mężczyzna o krzaczastych bokobrodach podchodzi do recepcji i pyta, gdzie mógłby nabyć nowe baterijki. „Zaraz pana zaprowadzę” – odpowiadasz uprzejmie, znajdując pretekst, by wymknąć się zza lady. Zostawiasz starego przy kiosku, a sam zaglądasz do Hideaway Room, gdzie wieczorami grywa na fortepianie George Feyer. Pytasz barmana o adres Neila, lecz i on nie wie. Pamięta jedynie, że Stainton mieszka gdzieś przy Grand Central.

Szerokimi marmurowymi schodami zbiegasz do podziemnych kondygnacji. W restauracji Inagiku japońscy kelnerzy tańczą między nielicznymi o tej porze gośćmi schowanymi w oddzielnych bok-sach. Wyciągając głowę ponad bambusowe przepierzenie, szukasz wzrokiem Akida, starego przyjaciela Neila. Zaczepiasz kierownika sali, ale ten oznajmia, że Akido ma akurat wolne.

Mijasza imponujących rozmiarów portret Conrada N. Hiltona (obrzezuca przechodzących wzdornie łagodnym spojrzeniem) i wpadasz do Sir Harry's Bar. Tu także nikt z personelu nie zna adresu. Dopiero po kilkunastu minutach poszukiwań, w Empire Room z jego lustrzanymi drzwiami i dwoma piętrami balkonów, odnajdujesz sprzątaczkę Sarę zgarniającą rozsypane na posadzce resztki confetti. Od niej dowiadujesz się, że Stainton mieszka na-przeciw gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych, między Czterdziestą Drugą a Czterdziestą Trzecią.

6

Jego mieszkanie znajduje się na dziewiątym piętrze przyzwoicie utrzymanej kamienicy Tudor City. Otworzy ci ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę z fantazyjnie przewiązanym krawatem. Widać, że cieszy się z twojej wizyty. Poklepuje cię po plecach i prosi do środka. Jesteś zaskoczony, jak bardzo fasada kamienicy kontrastuje z wnętrzem jego salonu zawalonego stosami gazet. Ułożone pod ścianami, piętrzą się niemal pod sufit. Tak jakbyś wszedł do składnicy makulatury.

Pośród resztek kompletu mebli w stylu edwardiańskim dostrzegasz elektroniczny stół *Najeźdźców z kosmosu*, którego szklany ekran przemierzają błękitne pojazdy międzyplanetarne. Stojąca na brzegu opróżniona do połowy butelka haiga mieni się refleksami światła. „Kupiłem tę grę, by sprawić sobie radość na stare lata.” Neil sięga po szklaneczkę whisky i podnosi ją do ust. Kiwasz głową i wskazując na sterty gazet, pytasz, czy nie obawia się pożaru. „No, no, uważaj. – Grozi ci palcem. – Gadasz tak samo jak mój dozorca. Każą ci wierzyć, że żyjesz w najbardziej demokratycznym kraju na świecie – ciągnie z goryczą – a w rzeczywistości śledzą cię na każdym kroku. Niby wolno ci wszystko, a tak naprawdę wszystko jest zakazane.” Macha ręką z rezygnacją i proponuje, byście rozegrali kolejkę. Siadacie po obu stronach stołu i po kwadransie kanonady, eksplozji pocisków i jazgotu runda kończy się twą całkowitą porażką.

W ciszy, jaka zapada, Neil nalewa ci drinka i przesiada się na wygodny fotel. „Jeszcze do niedawna spędzałem całe dnie, słuchając radia. Nie mogłem znieść samotności i własnych myśli. Ale od kiedy kupiłem ten kosmiczny stół, każdą wolną chwilę poświęcam na trening. Szczeniaki mają rację. To jest sto razy lepsze niż radio czy telewizja: przynajmniej masz zajęte ręce”.

Zamyka oczy, po policzku spływa mu łza. Nie wiesz, co powiedzieć. W końcu Neil przerywa kłopotliwą ciszę. Opowiada o miłości do Rosy, o tym, że wciąż ją kocha i nie widzi sensu w porannym wstawaniu z łóżka, parzeniu kawy, goleniu się, ubieraniu. „Wiesz, kilka dni temu, podczas nocnej zmiany, poszedłem do magazynu po parę czystych rękawiczek – zwierza się półgłosem – i zaraz za progiem potknąłem się i upadłem. Byłem przytomny, nic mnie nie bolało, ale nie wstałem. Nie chciało mi się. Leżałem tak chyba z godzinę i, wierz mi, było mi wszystko jedno”. Podnosi głowę, spogląda na fosforyzujące sylwetki, które dryfują wzdłuż ekranu kosmicznego stołu, i mówi z uśmiechem: „W tej grze jest wiele okrucieństwa. Te nieszczęsne widma krążą po ekranie, nie mogąc przekroczyć jego brzegów. Nie mają wyjścia!”.

W twojej głowie – niczym owe mechaniczne cienie płynące po ekranie – zjawiają się i znikają natrętne obrazy Galii. Szukasz słów, by dodać Neilowi otuchy, lecz ich nie znajdujesz. „Spójrz na te stosy gazet. – Neil z trudem podnosi się z fotela, coraz bardziej pijany. – W jednej z nich znajdziesz notkę o śmierci Rosy, ledwie kilka zdań. Pomyśl, w każdej gazecie, prawie na każdej stronie jest jakaś wiadomość o śmierci. Raz dotyczyć będzie setek ludzi, innym razem wypadku zwykłego przechodnia. Widzisz, ile tego jest? A teraz wyobraź sobie... na przykład ja albo ty... któregoś pięknego dnia... i nie napiszą nawet jednego słowa, o ile umrzemy zwykłą śmiercią. W ostateczności zostaną po nas tylko cholerne klepsydry!”

Słuchasz starego z rosnącym zdumieniem. Nigdy wcześniej nie przyszło ci do głowy, że ów czarujący, dowcipny Neil, wpatrzony hipnotycznie w stosy starannie poukładanych egzemplarzy „New York Timesa”, może wyrzucić z siebie tyle desperackich zdań. Czujesz lęk. Lęk, że twoja samotność stanie się – o ile już się nie stała – kopią samotności Neila; przedwczesną emeryturą człowieka skazanego na cztery ściany swoich gorzkich myśli; dzień taki jak wczoraj: filiżanka kawy, pusta cisza i ty – lokator zagłębiony w lekturze gazet zadrukowanych tymi samymi co zwykle doniesieniami: o kryzysach, korupcji i śmierci. Ty – który nie masz powodu widzieć się z kimkolwiek. Ty – któremu brakuje odwagi, by szukać, zadowolony, że w ogóle wyszedłeś z domu: do pracy, sklepu, dokądkolwiek... Wstajesz z fotela i pytasz Neila o toaletę. Pijanym gestem wskazuje ci korytarz.

Gdy zamykasz drzwi, słyszysz okrzyk starego: „Tylko uważaj, żeby szczury nie odgryzły ci jaj!”. Nie jesteś pewien, czy Neil jest już tak pijany, czy... Wracasz więc do pokoju i pytasz, co miał na myśli. Neil dopija szklaneczkę whisky i wyjaśnia, że gdy wczoraj mył ręce, posłyszał w łazience dziwny chrobot, a zaraz potem głośny plusk. Podeszedł do muszli, skąd dolatywały dziwne odgłosy, podniósł ostrożnie klapę i ujrzał szczura zanurzonego do połowy w wodzie. Natychmiast zadzwonił po dozorcę, lecz gdy ten się zjawił, szczura już nie było. Dozorca próbował zbagatelizować cały incydent, przyparty do muru wyznał jednak, że słyszał już o podobnych przypadkach w sąsiednich kamienicach. Tłumaczył to bliskością East River. „O ile to prawda – Neil śmieje się – cały gmach ONZ został sterroryzowany: tam szczury mają najbliżej”.

Opadasz na fotel i z przejęciem opowiadasz o swoich przygodach ze szczurami: obok domu Galii i w porno kinie, o Francuzie i jego Sissy. Neil słucha z uwagą, kiwa głową i przypomina sobie jeszcze jeden szczegół. Otóż właśnie dziś, zaraz po powrocie z hotelu, poszedł do

łazienki i zobaczył na sedesie wyraźne ślady łapek. Ni stąd, ni zowąd wybuchą śmiechem i proponuje ci wypicie zdrowia szczurów.

Nie zdołasz oprzeć się pokusie ponownego obejrzenia łazienki. Po zamknięciu drzwi badasz wzrokiem muszlę, nie znajdując tam niczego szczególnego. Myślisz, że stary pewnie zmył ślady łapek. Ale czemu miałby to robić? – pytasz samego siebie. Przecież nie należy do ludzi, którzy sprzątaję własne mieszkania, by zatrzeć ślady przeszłości.

7

Wychodzisz pijany, nie budząc Neila skulonego w fotelu. Nie chce ci się szukać taksówki ani najbliższej stacji metra. Wieżowce Lexington Avenue kołyszą się na wszystkie strony. Jadące z zawrotną szybkością samochody atakują cię, gdy tylko próbujesz przejść jezdnię. Hamując z piskiem opon, kierowcy wrzeszczą na ciebie, a chromowane chłodnice ich samochodów szczerzą kły pod oczodołami reflektorów, gotowe skoczyć ci do gardła i rozszarpać na kawałki.

Zatrzymujesz się na Pięćdziesiątej Czwartej, opierasz o mur budynku i przebiegasz wzrokiem srebrzystobiałą elewację Citicorp Center. Smukły wieżowiec wygina się coraz niebezpieczniej, niemal nie do zniesienia, i jesteś pewien, że za chwilę przełamie się wpół jak zapalka, a krawędź jego trójkątnego dachu zgilotynuje przechodniów. Chcesz krzyknąć, by ostrzec ich przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, lecz nie umiesz wydobyć z siebie głosu.

Skręcasz z Lexington Avenue i zatrzymujesz się w cieniu domu towarowego Bloomingdale's. Po drugiej stronie ulicy na plastikowej skrzynce po coca-coli siedzi tęga kobieta zabandażowana w resztki starych pończoch, sukien i płaszczy. Oparta o wylot wentylatora kuli się w strumieniu gorącego powietrza; zawsze w tym samym miejscu, zawsze w tej samej pozycji, zwinięta jak embrion, z twarzą zatopioną w otwartych dłoniach, trwa tam od lat z tą samą nieładzką

determinacją co ów Murzyn w wełnianej czapce, który nigdy nie opuszcza wejścia do MoMA.

Często, mijając ją, słyszysz, jak mamrocze coś do siebie, ale nigdy nie masz odwagi przystanąć i posłuchać. Wręcz przeciwnie, zawsze przyspieszasz i odwracasz głowę, by uniknąć widoku jej masywnych, obrzękłych łydek pokrytych otwartymi ranami jedzonymi przez brud. Ktoś powiedział ci, że jest właścicielką kilku kamienic. Brzmiało to jak kawał, ale kto wie. Teraz, gdy whisky dodała ci animuszu, będziesz gotów podejść i spytać, czy to wszystko prawda, ale poczucie szacunku, nagłej litości czy też wstydu sprawi, że porzucisz ten zamiar.

Na pobliskiej stacji kolejki linowej kołysze się nadjeżdżający wagon. Jakiś spóźniony pasażer, może turysta, macha ci przyjaźnie ręką, tak jakby cieszył się, że zjechał szczęśliwie z Mount Everestu. Machinalnie pozdrawiasz go i wracasz do domu.

8

Budzisz się z potwornym bólem głowy. Zegar pokazuje południe. Na szczęście pracujesz na nocną zmianę. Idziesz do kuchni ugasić pragnienie, ubierasz się i zjeżdżasz do hallu.

Portier posyła ci wymowne spojrzenie: mówi ci w sekrecie, że widział, jak wczoraj wracałeś kompletnie pijany. Uprzejmie tłumaczysz mu, że byłeś zaproszony na pożegnalne przyjęcie, i aby uciąć dalszą dyskusję, pytasz o chłopca z czwartego piętra, który gra na kornecie. Portier nie bardzo wie, o kogo chodzi, i swą kulawą angielszczyzną prosi, byś opisał jego wygląd. Nie idzie ci to zbyt składnie. Serb kręci głową i przysięga, że nikt taki nie mieszka w budynku. Na czwartym piętrze mieszka wprawdzie małżeństwo z dzieckiem, lecz chłopiec ma nie więcej niż cztery lata. Poza tym nikt tam nie gra na żadnym instrumencie. Właściciel kamienicy nie życzy sobie hałasów. Portier zapewnia, że nigdy nie widział kogoś odpowiadającego twemu opisowi, i dodaje, że w stanie, w jakim byłeś zeszłej nocy, mogłeś widzieć nawet samego marszałka Titę. Uśmiechasz się kwaśno i wracasz na górę.

Leżysz na dywanie, patrząc tępo w sufit. W głowie, zmieszane z resztkami alkoholu, tłuką ci się – niczym refleksy pojazdów międzyplanetarnych z kosmicznej maszyny Neila – obrazy minionych zdarzeń. „Prawda, że nie ma wyjścia?” Powiesić się, pójść do kina, włączyć telewizor? I tak nie potrafisz przestać myśleć o Galii.

Nie ruszając się z podłogi, wybierasz pilotem kanał 23 i słyszysz zaproszenie do podróży w świat potworów i bestii, którą zaplanowano na siódmą wieczór, w sobotnią noc zaś nad światem zawisnie widmo zagłady. Tymczasem zaczyna się program o życiu erotycznym. Gospodarz programu rozmawia ze specjalistką w dziedzinie stymulowanych orgazmów. W trakcie wywiadu kobieta poprawia okulary w rogowej oprawie, które raz po raz zsuwają się jej ze spoczonego nosa.

Następuje prezentacja czwórki statystów. Jeden z nich został wcześniej spryskany „eliksirem miłości”. Specjalistka ma zgadnąć który. Trafia bez pudła. Zaskoczona na równi z publicznością w studio, śmieje się i oświadcza, że kupi ów specyfik mężowi pod choinkę. Sięga po torebkę, wyjmuje notesik i zapisuje nazwę reklamowanego specyfiku.

Wstajesz z podłogi i robisz to samo. Zapisujesz nazwę jak idiota, który machinalnie chwytą się wszystkiego, co dałoby mu przynajmniej cię szansy u Galii. Opanowuje cię nieznosne uczucie zazdrości. Ktoś taki jak ów uśmiechnięty statysta, nawet gdyby nie był spryskany „eliksirem miłości”, mógłby bez trudu zbliżyć się do Galii. A ty nie możesz. Ów lalusz, wolny od ciężaru wspomnień, wsiadłby po prostu na pokład promu płynącego na Staten Island, zadzwonił do drzwi, przedstawił się i zaprosił na drinka, do kina, gdziekolwiek.

Ostatecznie łapiesz się na tym, że rozumiesz jak zupełny kretyń, wyłączasz telewizor i idziesz do łazienki. Siadając na desce, słyszysz podejrzane odgłosy wydobywające się z głębi muszli. Nerwowo sprawdzasz, czy z wody nie wynurza się pysk szczura.

9

Miasto przygniatają ołowiane chmury, krople deszczu siekają cię po twarzy, lecz nie chce ci się wracać po parasol. Zakupy robisz zwykle w Sloans na rogu Sześćdziesiątej i Drugiej Alei, jednak tym razem zmieniasz trasę i idziesz prosto do delikatesów położonych koło stacji kolejki linowej.

I wtedy go dostrzegasz. Dokładnie tam, gdzie go spotkałeś przedwczoraj. Ma na sobie ten sam obszerny płaszcz. Musi tu tkwić od dobrych paru godzin, płaszcz bowiem ocieka deszczem. Ostrożnie zbliżasz się, jakby w obawie, by go nie spłoszyć, i pytasz, czy cię pamięta.

Spojrzy na ciebie swym stanowczym wzrokiem i skinie głową. W gorączkowych słowach wyrazisz podziw dla jego gry na kornecie, a potem spytasz, czy nie ma nic przeciwko temu, abyście gdzieś porozmawiali. Ponieważ nie odpowiada, pytasz, jak się nazywa, gdzie mieszka, przepraszając za natarczywość. W końcu gubisz się, milkniesz i opuszczasz głowę, nie mogąc znieść jego wzroku. A kiedy jesteś pewien, że zaraz obróci się na pięcie i zobaczysz jego plecy ginące w tłumie, słyszysz jego cichy głos: „Napilbym się gorącej herbaty”.

Jeszcze przed chwilą chciałeś zasypać go gradem pytań, lecz gdy znajdujecie wolny stolik w wyiębionym wnętrzu Tramway Café,

wolisz siedzieć cicho i wystarczy ci, że jesteś obok niego. Patrzysz, jak podnosi filiżankę herbaty, parząc sobie usta, i martwisz się o jego zmoczone ubranie. Po chwili zastanowienia proponujesz podróż do kręgielni, aby tam rozgrzać się w ogniu sportowej walki. Zgodzi się bez słowa.

Jadąc metrem i pokonując labirynt korytarzy Penn Station, powiesz mu, kim jesteś, i znów spytasz, jak się nazywa. Nie odpowie ci, a ty dasz za wygraną, sądząc, że zdradzi ci swoje imię, gdy przyjdzie na to pora. Tymczasem nazwiesz go Chaim – proponujesz – tak jak nazywał się twój dawny przyjaciel. Milczenie chłopca uznasz za zgodę. Nieco mniej skrępowany opowiesz mu o swej pracy w Waldorf Astorii i zdawkowo o swym życiu. Jeszcze tylko oświetlony pasaż łączący Penn Station z rotundą Madison Square Garden, jazda ruchomymi schodami wiodącymi na drugie piętro i już jesteście na miejscu.

Krzyki graczy mieszają się z łoskotem toczących się po torach kul, które uderzają z hukiem w szeregi kręgli. Bierzesz z wypożyczalni dwie pary butów i rękawic. Udaje ci się wypatrzeć pusty tor przy końcu sali. Chaim wygląda tak, jakby był przerażony otaczającą was wrzawą. Wzdryga się nerwowo przy każdym głośniejszym dźwięku.

Nie ma zielonego pojęcia o grze, nie potrafi nawet prawidłowo chwycić kuli. Czyżby nigdy nie grał w kręgle? Tłumaczysz mu podstawowe reguły, a on słucha z roztargnieniem, rzucając ukradkowe spojrzenia na twarze grających. Przerywa wyjaśnienia, pytając, czy w tej grze trzeba zniszczyć małe drewniane figurki z taką pieczołowitością ustawiane przez automat na końcu toru. Potwierdzasz, a on kiwa głową ze zrozumieniem, by cichym głosem dodać: „Wszystko w tym kraju prowadzi do zniszczenia”.

Włączasz zegar i proponujesz rozgrzewkę. Pierwszy bierze kulę Chaim. Porusza się niezgrabnie, rzuca bez wyczucia jak bardzo, bardzo marny zawodnik. Jedna z jego kul odbija się od toru i wylatuje

za przegrodę. Spasiony Meksykanin właśnie szykujący się do rzutu spogląda na was spode łba, strzyka śliną i warczy, że lepiej będzie, jak pójdziecie rzucać kamieniami do Hudsonu.

Starasz się przekonać Chaima, że przeszkodą w celnych rzutach jest jego długi płaszcz. Niechętnie zdejmuje go i kładzie na brzegu ławki. Odwraca się, a wtedy widzisz zawieszony na jego szyi, częściowo ukryty w fałdach szalika misternej roboty kornet.

W drugiej kolejce Chaim wcale nie jest lepszy. Rzuca tak słabo, że jego kule w ogóle nie docierają do celu. Przypominają gumowe piłki odbijające się z głuchym dudnieniem od desek toru. Sam rozumiesz, że nie ma sensu grać dalej. Aby go nie urazić, mówisz, że wystarczy jak na pierwszy raz, i dostrzegasz ulgę na jego twarzy. Jakby czekając tylko na te słowa, Chaim podnosi kornet i dmie weń z całych sił.

Wysoki, pojedynczy, czysty ton osiąga taką intensywność, że już po chwili czujesz, jak oddychasz tym dźwiękiem, oddychasz każdym porem skóry, a twoje mięśnie i kości rezonują jego oczyszczającą siłą. Unosisz się nad parkietem w niewytłumaczalnej lewitacji, w poczuciu Boga, który rozrywa sufit i ukazuje się w oślepiającym blasku sfer.

Pozostali gracze z wolna przerywają grę, rozpędzone kule tracą impet, a podbite do góry kręgle zawisają w powietrzu i nie opadają, pozbawione własnego ciężaru. Wrzawa cichnie, ściany rozsuwają się bezszelestnie i oczom ukazują się skały spowite mgłą oraz rzeki spływające głęboko pod ziemię. Górski wiatr przynosi drobne krople deszczu, znika napięcie z twarzy grających, a ich źrenice promieniają zapomnianym światłem.

Później, gdy ucichnie echo zasuwanych ścian, zawodnicy stopniowo podejmą przerwana grę, kule potoczą się po swych torach, kręgle z łoskotem upadną na ziemię, ty zaś poczujesz, jak budzisz się z głębokiego snu.

10

Jedziecie zatłoczonym metrem, nie rozmawiając ze sobą. Wolisz nie szukać wyjaśnień tego, co nie może być wyjaśnione; Chaima otacza aura niepozwalająca na zadawanie pytań. Coś osobliwego i obcego, wykluczającego wszelką zażyłość.

Ściśnięty w tłumie pasażerów o zmęczonych twarzach zamykasz oczy, próbując odtworzyć każdy fragment doznanych wrażeń, tak by utrwalić go w pamięci i móc przywołać w chwili cierpienia. Bez skutku. Im dalej od miejsca owego cudu, tym bardziej twoja wiara słabnie. Zaczynasz podejrzewać siebie o skłonność do halucynacji wywołanych napięciem ostatnich dni. A kiedy wraz z Chaimem wysiadacie na Grand Central, jesteś już pewien, że wszystko, czego byłeś świadkiem, stanowiło jedynie wytwór twej chorej wyobraźni.

Zatrzymując się pośrodku hallu, pytasz Chaima, czy nie zechciałby pójść tego wieczoru do filharmonii.

Chaim, który obserwował w skupieniu spieszących się podróżnych, spogląda ci prosto w oczy i odpowiada pytaniem: „A po co?”. Zmieszany, uciekając wzrokiem od jego spojrzenia, tłumaczysz, że skoro on sam gra, to może warto byłoby usłyszeć jakiś koncert w wykonaniu orkiestry Filharmonii Nowojorskiej...

Nie reaguje na twoją propozycję. Przeszywa podróżnych swymi nieustępliwymi oczyma, niemal nawlekając ich na nić swego spojrzenia,

i zachowuje się tak, jakby nigdy tu nie był; nie tylko w Grand Central, ale we wszystkich miejscach, w których jesteście razem. Milczy jeszcze przez chwilę, unosi głowę i wbija wzrok w sklepienie hallu.

Mimowolnie naśladujesz go, usiłując dostrzec coś, co widzą jego oczy, ale niczego nie dostrzegasz. Ozdobione złotymi personifikacjami znaków zodiaku i żarówkami w miejscu gwiazd, sklepienie łuszczy się wyblakłą farbą. Zrezygowany masz już opuścić głowę, gdy nagle żarówki zaczynają promieniować silniejszym blaskiem. Całe sklepienie wypełniają świetlne punkty, które zapalają się i gasną niczym wirujące galaktyki.

Kiedy opuścisz głowę, Chaima już nie będzie. W rozproszonym tłumie obserwującym sufit mignie ci gdzieś żółto-czerwony płaszcz. Gdy ruszysz w pogoń, zniknie bez śladu.

11

Twój szef, który został dziś dłużej w pracy, wylicza ci dokładnie, ile razy spóźniłeś się na służbę w ostatnim miesiącu. Ostrzega, że zrobi z tobą to samo co z Neilem, ale jego przemowa nie wywiera na tobie specjalnego wrażenia. Udajesz skruszonego, zapewniając, że wcale nie zapomniałeś, jaką renomą cieszy się instytucja, w której masz zaszczyt pracować, lecz jednocześnie z całą wyrazistością uświadamiasz sobie, jak łatwo dałeś się omamić owemu durnemu poczuciu odpowiedzialności, poczuciu, które nakazało ci tu przybiec i uśmiechać się, i ucinąć pogawędki z pijanymi biznesmenami, i zamawiać budzenia i śniadania o ściśle wyznaczonej godzinie, aby z samego rana mogli rozpocząć kolejną rundę interesów, monstrualnych zmagających o zielone papierki ozdobione Świętą Trójcą, Orłami, Waszyngtonami, Jacksonami i Franklinami oraz zdumiewającą inskrypcją „Bogu ufamy”.

Może już nigdy nie zobaczysz płonących oczu Chaima i nie usłyszysz brzmienia jego kornetu, który burzy mury i przenosi cię w sferę ukojenia i światła, i przeraża cię to stokroć bardziej niż perspektywa utraty tysięcy posad i dolarów. Na szczęście kolejna fala gości wymywa szefa z recepcji i zmusza go do pokornego tańca uśmiechów i ukłonów, a ty, wdzięczny za wybawienie, poświęcasz się całkowicie obsłudze nowo przybyłych.

Mijają długie godziny wypełnione monotonią czynności i życie hotelowe wreszcie się uspokaja. Większość gości zasnęła w poko-

jach, a ty możesz powrócić myślami do wydarzeń minionego dnia, starając się nadać im jakiś sens.

Obserwujesz środek hallu, gdzie służący w kremowych uniformach z rubinowymi epoletami zmiatają cierpliwie każdy skrawek papieru, który pewien jegomość wyciąga z kieszeni swego smokingu, drze i rzuca na dywan. Mosiężne szufelki zapełniają się strzępami wizytówek, fotografii, czeków i banknotów, a ty odkrywasz, jak wiele wspólnego masz z tym pijanym facetem, który usiłuje opróżnić kieszenie z notatek i dokumentów, tak jak ty swą pamięć z myśli i wspomnień o Galii.

Jeden z boyów wyrывa z ręki pijanego naddarty paszport, podchodzi do recepcji i prosi, byś przechował dokument. Zamykasz go w sejfie i wracasz do pozycji starej baby przypatrującej się z okna życiu, które toczy się leniwie na ulicy. Brakuje ci tylko poduszki obszytej koronką. W końcu boyom udaje się wsadzić pijanego do windy i mogą spokojnie zająć się napełnianiem białym piaskiem hotelowych popielnic i stemplowaniem ich powierzchni godłem Waldorf Astorii.

Japońscy kelnerzy z restauracji Inagiku wychodzą, kłaniając się unieźnienie, a ty pozdrawiasz Akida, myśląc o Neilu pochylonym nad stołem *Najeźdźców z kosmosu*, który z pewnością skonstruowano w Japonii. Żał ci, że już go tu nie ma. Był jedyną osobą, z którą mógłbyś porozmawiać. Czujesz ssanie w żołądku; nie jadłeś od samego rana. Opuszczasz stanowisko i ruszasz w stronę kuchni na zapleczu Empire Room.

12

Wchodząc w przestrzeń białych kafelków odbijających bolesne światło jarzeniówek, wpadasz na Ricka Faldo, kelnera znanego z tego, że gdy pracował jeszcze w bostońskim Mediterranean Hotel, w korytarzu łączącym kuchnię i salę restauracyjną pluł do potraw klientów traktujących go z góry. Faldo nazywał to „walką klas”, aż wreszcie nakryli go i wyrzucili z pracy. Ale Rick zdołał jakimś sposobem przekupić kierownika sali, by ten wysmażył mu pochlebną opinię. Po przyjeździe do Nowego Jorku zaczął się na krótko w hotelu Pierre, nim ostatecznie wylądował w Waldorf Astorii. Teraz już nie pluł na nic. Kupił sobie mercedesa i bungalow na Florydzie.

Zachowując się jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku, Rick pośpiesznie wyjaśnia ci, że wrócił do kuchni, by poszukać kluczyków od samochodu. Pyta, czy nikt nie odniósł ich do recepcji. Nic o tym nie wiesz, odpowiadasz, zastanawiając się nad prawdziwym powodem wizyty Ricka o tej porze. Klaniając się sobie, Rick wychodzi, a ty zanurzasz się w labirynt staromodnych kredensów i stołów w poszukiwaniu Frau Helgi, niemieckiej kucharki, którą po latach nienagannej służby skazano na nocne sprzątanie kuchni.

Frau Helga, kobieta potężnej postury i gołębiego serca, gotowa jest nakarmić każdego, kto tylko jest głodny. Przy byle okazji lubi powtarzać, że przyzwoitego człowieka poznaje się po tym, iż przy-

zwoicie jada. Przywędrowała do Stanów jeszcze przed wojną i od tamtej pory nie może się nadziwić, jakim cudem Amerykanie są tak bogaci, dostają tyle Nagród Nobla, a jednocześnie zażerają się takimi świnstwami jak hamburger czy hot dog, zapijając to w dodatku słodkawą lurą zwaną coca-colą. Przy każdej sposobności zapewnia też, że owe hamburgery nie mają „nic, ale to absolutnie nic wspólnego” z jej rodzinnym Hamburgiem.

Krążysz po kuchni, lecz nigdzie jej nie ma. Zapalasz papierosa, myśląc, że może wyszła gdzieś na chwilę, ale niebawem słyszysz wypowiedziane miękkim, melodyjnym głosem imię „Adolf”. Rozpoznajesz głos Frau Helgi. Podchodzisz pod drzwi spiżarni, zza których dobiegają krótkie, urywane komendy przypominające niemieckie rozkazy wojskowe. Uchylasz wahadłowe drzwi i widzisz plecy Helgi kłęczącej na kamiennej posadzce.

Trzyma w ręce poobijaną emaliowaną miskę pełną resztek mięsa i chleba. Nawet nie zauważa, że wszedłeś. Wystrasza ją dopiero skrzyp zamykających się drzwi. Odwraca się gwałtownie, lecz widząc, że to ty, kładzie tylko palec na ustach i bez słowa kontynuuje obserwację szczeliny pod białym kredensem.

Szeleszcząc kawałkiem pergaminu, Frau podejmuje przerwane litanie, a ty wysilasz wzrok, by dostrzec, czemu się tak przygląda. Nie widząc niczego, myślisz ze smutkiem, że Helga dziwaczeje na starość. Na dodatek informuje cię swoim ciężkim akcentem, że cieszy się, że to ty, a nie ten bydlak Faldo, który ciągle ją szantażuje, że o wszystkim doniesie dyrektorowi.

Nie masz pojęcia, o czym mówi. Szelest pergaminu nadaje rytm teutońskim zaklęciom, a jej zachowanie wygląda na rytuał wywoływania duchów. Chciałbyś podnieść ją z kłęczek, lecz gdy tylko robisz krok w jej stronę, dzieje się coś, co osadza cię w miejscu i wywołuje zimny dreszcz przebiegający po plecach.

Z mrocznych głębin pomiędzy nogami kredensu wynurza się ogromny, tłusty szczur. Jego posklejana w kosmyki sierść lśni, gdy bestia unosi się na tylnych łapach. Sposób, w jaki porusza wąsami, tłumaczy pochodzenie jego imienia. Adolf opada leniwie na cztery łapy i jakby nigdy nic wlecze swe monstrualne cielsko do miski z jedzeniem.

Helga chichocze jak mała dziewczynka. Mamrocze przy tym jakieś czule niemieckie słówka. Szczur rzuca się na smakołyki, a Helga, stękając, wstaje, chowa pergamin do kieszeni fartucha i usiłuje przekonać cię, że Adolf jest stworzeniem czystym i miłym, toteż nie pozbędzie się go za żadne skarby. „Nie mam nikogo bliskiego na świecie. Nikogo. Każdy jest tak zajęty, że nie ma dla Frau Helgi ani chwili – mówi ze łzami w oczach. – On jeden mnie odwiedza i tylko z nim mogę sobie porozmawiać... A ten kretyn Faldo może mnie pocałować! Każdy pętaś wie, że kiedyś pluł w kotlety... A Adolf jest czyściutki i nie zostawi po sobie ani okruszynki.”

13

Wypelzają ze wszystkich zakamarków ulicy, z każdej, nawet najmniejszej szczeliny w murze. Pod naporem ich ciał unoszą się żeliwne pokrywy kanałów. Wilgotne, ociekające tłustą i cuchnącą wydzieliną hordy opuszczają podziemne królestwo, wzniecając panikę w mieście.

Zakuci w żółte karoserie, taksówkarze kawaleryjskimi szarżami próbują przedrzeć się przez przybywające zewsząd zastępy. Opony grzęzną w masie zwierząt i, przegryzione, eksplodują z głośnym sykiem. Atakujące szczury wdrapują się po karoseriach, przegryzają metal i rzucają się z piskiem na sparaliżowanych strachem kierowców. Wystarczy parę sekund, aby biel kości zajaśniała pod strzępami ciał. Powietrze wypełnia zapach krwi zmieszany z odorem sierści.

Torując sobie drogę ucieczki, przechodnie walczą na śmierć i życie. Zwycięzcy biegną dalej, tratując pokonanych. Zewsząd słychać krzyki. Mężczyzna w czarnym, błyszczącym płaszczu zakrywa twarz dłońmi, zanosząc się histerycznym śmiechem. Chwieje się i tonie w skłębionej masie. Łysy Murzyn żali się chrapliwym głosem na bóle reumatyczne, które nie pozwalają mu uciekać. Jego skarga urywa się szybko; upadając na chodnik, zostaje zadeptany nogami, których nie dotknął jeszcze reumatyzm. Wysoka brunetka rozpacza, że porzucił ją kochanek. Wkrótce zostaje zakłuta obcasami kobiet, które trzymają swych mężów za ręce. Monotonny jęk syreny narasta,

wibruje ponad miastem coraz głośniej i głośniej, aż w końcu wyrzuca cię z łóżka i zmusza, byś przeczołgał się przez pokój i pochwycił słuchawkę telefonu.

Początkowo nie możesz zrozumieć słów napływających z oddali. Ocierasz pot z czoła i z wolna wracasz do przytomności. Słyszysz chichot kobiety, która pyta, czemu tak sapiesz. Podejrzewając, że wchodzisz w kolejną fazę snu, omal nie krzyczysz z wrażenia. Głos należy do Galii.

14

Jeszcze nie wierzysz. Może to sen? Ogarniasz wzrokiem cały pokój. Wszystko jest na swoim miejscu. Rozbebeszone łóżko wygląda niczym pobożowisko, w powietrzu unosi się woń niedopałków i nawet zasłona w oknie rozdarta jest tam, gdzie była, przepuszczając promień słońca do wilgotnego półmroku. W końcu mamroczesz w słuchawkę, że właśnie się obudziłeś.

Dziwi ją, że jeszcze jesteś w łóżku. Tłumaczysz, że pracowałeś na nocnej zmianie, zastanawiając się, dlaczego dzwoni. Podejrzewasz, że chodzi o książki i parę drobiazgów, których nie zdążyłeś zabrać, opuszczając w pośpiechu dom na Staten Island. Okazuje się, że nie. Tak jakbyście się rozstali wczoraj, Galia mówi słodkim głosem, że spogląda właśnie na lekko wzburzony Atlantyk i wysokie cumulusy napływające zza horyzontu. Ni stąd, ni zowąd pyta, czy tęsknisz za nią. Tak po prostu. Jakby nic się nie stało.

Zaskoczony milczysz. Tyle czekania na jeden, choćby najdrobniejszy gest z jej strony. Tyle nocy wypełnionych bólem, tyle straconych nadziei, a teraz masz powiedzieć, że tak, że tęsknisz i kochasz, tak po prostu, przez telefon, jak gdyby nigdy nic? Masz powiedzieć, że kochasz, mimo iż walczyłeś, by zabić to uczucie, nie chciałeś go, czułeś, że jest gnijącym korzeniem drzewa twojej choroby, ale uczucie, głuche na twe pobożne życzenia, pokonuje cię na każdym kroku, rzuca na kolana i niemal fizycznie uderza w twarz?

Decydujesz się odpowiedzieć pytaniem na pytanie: „A ty tęsknisz?”. Podejrzewasz, że Galia wykręci się, przypominając, że to ona pierwsza spytała, i masz rację. „Przecież zapytałam cię pierwsza” – rozlega się w słuchawce. Nie mając wyboru, odpowiadasz zduszonym głosem: „Tak, tęsknię”.

Galia znów napawa się widokiem chmur żeglujących po niebie tuż nad dachem jej domu, w którym znasz na pamięć każdy kąt. Widzisz Galię stojącą przy oknie z aksamitnymi kotarami i tapczan, na którym kochaliście się tyle razy. Tak jakbyś stał obok niej. Nie możesz się opanować. Ogarnia cię wzruszenie, które każe ci wypowiedzieć kamienne, zbędne słowa: „Galio, Kocham cię”.

Roześmieje się z wyraźną ulgą. Powie, że to cudownie, i spyta, kiedy ją odwiedzisz. W pierwszej chwili chciałbyś zapytać, czy to znaczy, że znów będziecie razem, lecz zmieniasz zamiar, nie chcąc jej płoszyć. Jasne, że gotów jesteś rzucić wszystko i jechać do niej choćby zaraz, ale właśnie dlatego zaczynasz kłamać. „Dzisiaj nie dam rady – mówisz tonem wyzbytym wszelkiej emocji – mam mnóstwo spraw do załatwienia. Ale jutro...” „O której?” – przerywa. „O której chcesz?” „Więc wpadnij około piątej”. „Dobra, będę... Trzymaj się”. „Cześć!” Odkładasz słuchawkę.

Serce łomocze ci jak kolej podziemna. „Uspokój się” – mówisz do siebie, nie umiając powstrzymać napływającej fali radości. Rzucasz się do okna i rozsuwasz zasłony. Oślepiiony blaskiem słońca przykładasz wargi do rozdarcia w zasłonie i całujesz je, jakby to były usta Galii. Przypomni ci się Frau Helga; może dlatego, że wczoraj przyłapałeś ją na geście tak samo dziwacznym i intymnym. Pomyślisz o niej ciepło mimo świadomości, że twój nocny koszmar zawdzięczasz jej miłości do szczura.

Biegiesz do łazienki, by zanurzyć się w strumieniu lodowatej wody. Wycierając się świeżym ręcznikiem, myślisz z niechęcią o służbie,

która znów czeka cię wieczorem. Postanawiasz zadzwonić do hotelu i oświadczyć, że jesteś chory. Wiesz doskonale, czym to grozi: zwolnieniem lub, w najlepszym razie, obcięciem premii. Jest ci wszystko jedno. I tak nie mógłbyś myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że ją spotkasz i weźmiesz w ramiona. Teraz zaś potrzebujesz odrobiny snu.

Drżącą ręką wykręcasz numer recepcji. Przez pewien czas nikt się nie odzywa, a gdy centrala łączy cię z biurem szefa, nie musisz nawet udawać, że jesteś chory – twoje zęby szczękają jak w delirium. Szef słucha gorączkowych wyjaśnień, po czym oznajmia, że to, czy przyjdiesz czy nie, jest wyłącznie twoją sprawą. Próbujesz przekonać go, że nie chodzi o twoją wolę, lecz stan zdrowia, ale szef obojętnym tonem wyraża nadzieję, że szybko wyzdrowiejesz, i odkłada słuchawkę.

Czuąc ironię w jego głosie, nabierasz pewności, że chce się ciebie pozbyć tak samo jak Neila Staintona. To jasne: w związku z inflacją dyrekcja nakazała mu wylać część personelu, a ty podпадаłeś mu ostatnio zbyt często. „Niech się dzieje, co chce” – mówisz do siebie i kładziesz się do łóżka. Cóż może być ważniejsze od spotkania z Galią?

Leżąc nago na pościeli, zamykasz oczy. Wyobrażasz sobie dokładnie, jak stoisz przed jej domem: Galia otwiera drzwi, całujesz ją, ona odwzajemnia pocałunek i zaczynacie się kochać niczym wygłodzone bestie. Nie, nie tak. Stoisz w korytarzu i w milczeniu wpatrujesz się w jej twarz. Po długiej chwili Galia zaczyna płakać. Kłeka i przytula się do ciebie. Oblewają cię na przemian fale mrozu i ognia. Tak, to gorączka. Gorączka, która przenika do szpiku kości.

Leżysz półprzytomny, nie zdając sobie sprawy, czy śnisz. A jeśli tak, to jak długo? Godzinę czy rok? Budzą się w tobie stare wątpliwości stłumione wybuchem nadziei. Atakują cię ze zdwojoną mocą, aby

niepokoić i upokarzać. Może zadzwoniła tylko tak, od niechcienia, pod wpływem chwili, a ty, słuchając zachwycony jej szczebiotu o „obłokach żeglujących po niebie”, wymyśliłeś, że nie może bez ciebie żyć? Wystarczyło, by tylko podniosła słuchawkę i wykręciła twój numer, a gotowy jesteś lecieć do niej jak pies z wywalonym jęzorem.

Raptem wszystko wydaje się podejrzanе. Z coraz większą nieufnością analizujesz każde słowo zapamiętanej rozmowy i pograżasz się stopniowo w wyrzutach i niepewności. Łudzisz się, że Galia do ciebie wróci i znów będziecie razem. „Jesteś zwykłą szmatą! – mówisz do siebie. – Pieskiem, który waruje grzecznie przy nodze, aż pani rzuci mu ogryzioną kość. Godzisz się na to. Dlaczego? Ze strachu przed samotnością? Dlatego że boisz się, że skończysz jak Neil?”

Zakrywasz twarz poduszką, by nie słyszeć siebie, a wtedy wywołujesz z pamięci przypowieść o żonie Lota. Przerażona odgłosem walących się murów odwróciła się i zamieniła w słup soli. I ciebie czeka to samo. Wasza miłość też legła w gruzach i – czy tego chcesz czy nie – nie możesz patrzeć wstecz. Lecz ty odrzucasz myśl o klęsce. Nie godzisz się na nią, wierząc, że wszystko jeszcze da się naprawić, jak w happy endzie, w którym pocałunek łączy parę kochanków stojących na tle słonecznego nieba, a zza ekranu słyszeć łzawy refren i anielskie chóry.

Twoja miłość legła w gruzach, a ty oglądasz się za siebie. Czy zatem odczuwasz już pierwsze objawy paraliżu? Czy stajesz się już słupem soli, ową bezrozumną masą niezdolną do ruchu, wpatrzoną w coś, czego już nie ma? „Nie oglądaj się za siebie” – szepczesz.

Ale jest już za późno. Stało się – powiedziałaś, że przyjdiesz. Mógłbyś jeszcze wszystko odwołać, zadzwonić do niej i powiedzieć, że to nie ma sensu, że tyle już razy próbowaliście i jutrzejsze spotkanie niczego nie zmieni. Ale nie masz siły tego zrobić. Siły ni ochoty. W końcu to ona wykonała pierwszy ruch. Czyż nie jest to zwycięstwo?

15

Wyskakujesz z łóżka. Czując potrzebę podzielenia się z kimś rozterkami, ubierasz się prędko i wychodzisz z domu. Chcesz odnaleźć Chaima, w tym samym miejscu co zwykle, koło stacji kolejki linowej. Masz nadzieję, że zdobędziesz się na odwagę i wyznasz mu wszystko, co cię gnębi. Wierzysz, że jego słowa, jak dźwięk kornetu, pomogą ci i zdołają ustrzec przed podjęciem pochopnych decyzji. Ale nie spotykasz go.

Uzbroiwszy się w paczkę papierosów, postanawiasz czekać i przez następne kilka godzin jesteś jedyną osobą, która tkwi nieruchomo pośród kłębiących się tłumów wracających z pracy, zatopionych w lekturze popołudniowego wydania „New York Post”. Fale samochodów wylewają się z Queensboro Bridge, aby rozdzielić się na metalowe rzeki, które płyną z trudem przez kamienne łożyska ulic. Mgły spalin unoszą się ponad urwiskami ścian i raz po raz kanciasty obłok kolejki linowej rozcina niebo ponad twoją głową, uwożąc pasażerów na Roosevelt Island. Miasto powoli ogarnia ciemność pełna świateł, neonów i reklam, a ty otrząsas się z odrętwienia i chcesz coś zdecydować. Tylko co? Może warto jeszcze raz obejść budynek stacji, by poszukać Chaima?

Nie ma go. Tuż za rogiem kina Baronet grupka przechodniów otacza kuglarza, który ze stojącej przy chodniku furgonetki wyciąga rozmaite akcesoria, a potem żongluje nimi, połyka i wydymuchuje

ogień, między widzami zaś biega jego pies, z krawatem zamiast smyczy i z kapeluszem w zębach.

Wracasz w pobliże stacji. Czekasz jeszcze pół godziny, a kiedy tracisz już wszelką nadzieję, sprawdzasz, ile masz forsy. Wystarczy, by pójść się upić, stwierdzasz i ruszasz prosto do baru Freddie. Wpadasz tam czasem, a barman Karl zawsze ci powtarza, iż darzy szacunkiem hotel, w którym pracujesz. „Gdyby matka natura dała mi syna i córkę – zwraca się do ciebie – syna nazwałbym Waldorf, a córkę Astoria”. Sącząc whisky, lubisz przyglądać się baletowi jego zwinnych rąk, które otwierają butelki, napełniają szklanki i kieliszki, rzucają niedbałym ruchem puste butelki do drewnianej skrzynki i potrząsają koktajlami lub pijakami ociągającymi się z uregulowaniem należności.

Zdążając do baru, skręcasz z Trzeciej Alei w Sześćdziesiątą Ulicę i nagle stajesz jak wryty. „Nie, to niemożliwe” – szepczesz, ale wbrew własnym słowom widzisz szczura pełznącego samym środkiem chodnika. Zwierzę posuwa się z widocznym trudem, zostawiając za sobą połyskujący w półmroku ślad – krzepnącą strugę krwi.

Lewy bok szczura jest jedną wielką raną, strzępem mięsa zahażającym o szorstką powierzchnię betonu. Ból tego zwierzęcia, zapewne potrąconego przez samochód, przeszywa cię do szpiku kości. Najdziwniejsze jest jednak to, że szczur wlecze swoje zmasakrowane ciało bezgłośnie, bez jednego, nawet najcichszego jęku, mimo iż jego rana jest jak śmiertelny krzyk.

Bardziej niż widok konającego szczura przeraża cię podejrzenie, że oto ulegasz atakowi groźnej, nieznaney ci choroby, w której twoje najohydniejsze sny materializują się, przybierając postać żywej istoty cuchnącej krwią. Usiłujesz za wszelką cenę opanować drżenie kolan i dopiero gdy słyszysz przeraźliwy okrzyk przechodzącej obok kobiety: „Szczur!”, oddychasz z ulgą. Widzisz, jak inni usuwają się ze

wstrętem na bok. A więc nie jest to przywidzenie, lecz prawdziwy, śmiertelnie ranny szczur, który przeciska się między butami przechodniów.

Nie ujdzie zbyt daleko. W świetle latarni będziesz mógł przyjrzeć mu się z bliska. Z rozciętego podbrzusza wylewają się wnętrzności: pokryte są kurzem ulicy, gdzieniegdzie naszpikowane odłamkami szkła. Smużka krwi zwęża się, jej rezerwy są na wyczerpaniu. Zastanawiasz się, jak długo jeszcze szczur może iść i dokąd tak uparcie wlecze swe ciało. Czemu nie położył się pod ścianą albo w ścieku, by zdechnąć w spokoju? Cisza, w jakiej kontynuuje swą golgotę, jest nie do zniesienia.

Podążając śladem krzepnącej krwi, już wkrótce odkrywasz cel jego wędrówki; przed skrzyżowaniem z Lexington Avenue szczur zatrzymuje się w pobliżu starej żebraczki siedzącej na plastikowej skrzynce od coca-coli. Przez chwilę tkwi nieruchomo, jakby czekając na jakiś znak lub resztki sił, aż wreszcie z trudem podpełza do kobiety i wślizguje się pod jej łachmany opadające na chodnik niczym wystrzępiona kurtyna żebraczego teatru. Znowu ogarniają cię wątpliwości; czyż nie stajesz się ofiarą chorobliwej wizji? Lecz smużka krwi ciągnąca się na chodniku łśni wystarczająco wyraźnie, aby dostrzec, iż kończy się dokładnie pod nogami żebraczki.

Siedząc w bezruchu z twarzą ukrytą w dłoniach i mamrocząc jak zawsze swe niezrozumiałe słowa, kobieta nie drgnie nawet, gdy szczur znika pod jej łachmanami niczym w szczurzym grobowcu. Zdumiony, stoisz, oczekując, iż pojawi się znowu, ale na próżno. Szczur zapada się pod ziemię, jak gdyby zmęczone ciało kobiety pilnowało wejścia do zaświatów.

Podchodzisz bliżej i nachylasz się nad żebraczką. Chcesz rozróżnić słowa, które mamrocze do siebie. Przeszkadza ci hałas ulicy oraz to, że szept zagłuszają dłonie zakrywające usta, lecz z pozornie

bezsensownych słów wyławiasz te, które powtarzają się najczęściej: „prorok”, „jasność”, „nadejście”, „oczyść się” – i ani jednego słowa o szczurach. Czując na sobie ironiczne spojrzenia przechodniów, odchodzisz na bok. Kręci ci się w głowie, tak jakbyś już wracał z baru, do którego jeszcze nie dotarłeś.

16

Zanim wejdiesz do Freddiego, zmienisz plany. Nie masz ochoty na zwierzenia przy kielichu i oglądanie znanej ci galerii napuchniętych twarzy. Nie chcesz nawet widzieć Karla. Z drugiej strony perspektywa wieczoru spędzonego w samotności wydaje się jeszcze bardziej ponura. Skręcając w Pierwszą Aleję, wiesz już, czego ci trzeba. To proste. Wystarczy, że znajdziesz zaciszną knajpę, spokojnie zamówisz drinka i siedząc między obcymi, przygotujesz się do spotkania z Galią.

Idąc w dół miasta, odkrywasz wreszcie odpowiednie miejsce – bar o nazwie Ostatni Wieloryb, którego łuszczące się drzwi zaklejone są starym plakatem z Rayem Cooneyem w bokserskiej pozie. Nie byłeś tu nigdy; od progu uderza cię kwaśny odór piwa parujący z desek podłogi posypanej trocinami. Zniszczone stoliki rozrzucone po sali zajmuje garstka samotników. Nad ich głowami unoszą się aureole dymu, które zasysa ogromna mosiężna lampa oblewająca swym światłem barmana.

Jeżeli nie brać pod uwagę telewizora lypiącego błękitnym okiem z ołtarza staroświeckiego kredensu, w barze panuje niemal świątynna cisza. Cisza, w której wierni modlą się do samych siebie, komunie przyjmują w płynie, a barman – ów kapłan religii nocy, w zsuniętej na tył łysiny czapeczce New York Yankees – z pewnością czyni cuda, by zamienić wino w wodę.

Podchodzisz do kontuaru obitego zmatowiałą blachą i każesz sobie nalać podwójną whisky, „byle szybko.” Barman patrzy na ciebie jak na intruza, odwraca się i bez słowa napełnia szklankę. Wybierasz pusty stolik w najdalszej części sali. Siadasz. W głowie wirują myśli i obrazy, które w ciągu zaledwie kilkudziesięciu godzin zdołały cię osaczyć i zamknąć w tajemnej i niezgłębionej sferze, w której czujesz się zagubiony; Galia zapatrzona w obłoki żeglujące po niebie, Neil szykujący się do ostatecznej rozprawy z elektroniczną flotyllą kosmicznych najeźdźców, Frau Helga klęcząca na posadzce kuchni, muzyka Chaima, hotel, szczury i sny o szczurach, i ty niepotrafiący dopatrzeć się w tym ukrytej logiki.

Tego wieczoru, siedząc w kącie obskurnego baru, wierzysz, że spotkanie z Galią zmieni twoją przyszłość niczym dotknięcie czarodziejskiej różdżki, i boisz się pomyśleć, że może stać się inaczej. Najprostszym rozwiązaniem jest więc zapomnieć o wszystkim, zamówić jeszcze jedną podwójną whisky i pogрузić się w kontemplacji rozkładającego się wnętrza.

Pożółkłe, uwędzone w nikotynie skrawki tapety zwisają martwo ze ścian i sufitu. Wyblakłe ściennie lustro pokrywa liszaj wilgoci. Kiedy dotykasz stołu przykrytego brudną serwetą, drży jak stara kobieta. Ten bar, myślisz, jest bezpośrednim przedłużeniem zmasakrowanego ciała szczura i żebraczki z Lexington Avenue.

Słyszysz odległy płacz dziecka, dochodzący z szybu kuchennej windy jakby z dna przepaści, ale przysłuchując się, tracisz pewność; jest zbyt regularny, mechaniczny. Być może przestałbyś zwracać nań uwagę, gdyby nie to, że brzmi jak pisk szczura. O pomyłce nie ma mowy. Znasz ten dźwięk nazbyt dobrze. Natężasz słuch, lecz przeszkadza ci hałas telewizora. Wstajesz i podchodzisz do wylotu windy. Przykładasz ucho do szpary, budząc zainteresowanie kilku gości. Tak, nie ma wątpliwości, że jest w tym głosie coś zwierzęcego,

lecz zarazem ludzkiego. Jesteś rozdrażniony, masz już dosyć zagadek. Pytasz przechodzącego barmana, a on patrzy na ciebie, jakbyś spadł z księżycy. „Tam na dole trzymam Pigmeja, który piszczy, gdy zmywa naczynia” – odpowiada, a ktoś w pobliżu wybucha śmiechem.

Czujesz się jak idiota i tłumaczysz mu, że to szczur, a on uśmiecha się drwiąco. „Co, nie wie pan, że miasto jest pełne szczurów?” – mówi i wchodzi za kontuar. Nie pozostaje ci nic innego, jak tylko wrócić do stolika; nie jesteś jeszcze dość pijany, by całe to zdarzenie cię rozbawiło. Zaczynasz gapić się w telewizor. Leci jakiś film, w którego akcji początkowo nie możesz się połapać. Wyjące radiowozy mijają z niesamowitą prędkością dziwnie puste skrzyżowania Nowego Jorku. Ktoś wykręca numer telefonu. Jakiś facet bije po twarzy piękną blondynkę, krzycząc, że ją kocha. Kilka osób biega nerwowo po pokoju. Pocą się ze strachu, a kamera pokazuje na zbliżeniach ich przerażone twarze. Niepostrzeżenie akcja wciąga cię. W końcu pojmujesz, że ktoś ukrył w mieście bombę atomową. Szaleńca, który ją skonstruował, gra aktor, którego pamiętasz z podobnych ról w *Aniolkach Charliego* i *Vegas*. Jeżeli burmistrz nie zapłaci stu milionów, facet wysadzi miasto w powietrze. Nieźle, myślisz; na miejscu burmistrza nie dałbyś szantażyście ani grosza. Przynajmniej byłby święty spokój.

Tyle razy widziałeś podobne kawałki, a mimo to nie potrafisz odebrać oczu od ekranu. Jak się okazuje, cały incydent jest starannie ukrywany przed prasą, lecz paru dziennikarzom udaje się dowiedzieć, o co chodzi, i rozdmuchać to w telewizji. Przerywa się nadawanie programów i zaraz potem, rzecz jasna, w mieście wybucha panika. Ludzie chwytają co popadnie i próbują uciekać. Taksówkarze biorą grubą forszę i wożą pasażerów nawet w bagażnikach. Wozy zderzają się, taranują ściany budynków i wybuchają słupami ognia. W jednej ze scen rozpędzone auta spadają z zatłoczonego Brooklyn Bridge wprost do East River i toną majestatycznie – na powierzchni wody pojawiają się bulgoczące bańki.

Akcja przenosi się do gmachu Rady Miasta. W sali posiedzeń grupa radnych dyskutuje, jak zdobyć potrzebną sumę. Burmistrzowi udaje się przekonać pozostałych, by dali pieniądze szaleńcowi, ale w tym samym momencie policjanci trafiają na jego trop, wpadają do kryjówki i gdy szantażysta rzuca się do ucieczki, posyłają w jego kierunku kilka kul. Szaleniec pada na ziemię, w śmiertelnych drgawkach pluje krwią. Myśląc, że to koniec, jesteś w błędzie. Teraz dopiero zaczyna się zabawa.

Okazuje się, że facet ukrył bombę; zanim umarł, zdążył uruchomić mechanizm zegarowy. Eksplozja nastąpić ma za dwadzieścia cztery godziny. Setki policjantów przeszukują zakamarki miasta. Sprowadzają najnowocześniejszą aparaturę do wykrywania ładunków wybuchowych. Wszystko na nic. Zostaje już tylko dwanaście godzin. Programy radia i telewizji nadają przemówienie prezydenta. Apeluje o spokój i rozagę. Zapewnia, że jest dość czasu, by unieszkodliwić bombę. Lecz jego słowa nie odnoszą skutku.

Lotnisko Kennedy'ego wypełnia się tłumem uciekinierów. Początkowo ludzie stoją w kolejkach, czekając cierpliwie na miejsce w samolocie. Wkrótce nikt już nie pilnuje porządku. W tłumie dochodzi do aktów przemocy. Uciekający strzelają do siebie, a samoloty zderzają się w powietrzu. Ich płonące wraki zawieszają pióropusze dymu nad dachami Manhattanu. Tkwi w tych obrazach dziwne piękno. Szczególnie gdy panorama z lotu ptaka ukazuje niespodziewanie Staten Island, przypominając ci, że już niebawem spotkasz Galię i rozpocznesz nowe życie.

Mimo polecenia ewakuacji część nowojorczyków decyduje się zostać, lekceważąc groźbę zagłady. Gromadzą się na rozległych terenach Central Parku, który staje się sceną manifestacji religijnych. Różne sekty wyrastają niczym grzyby po deszczu. Ich przywódcy

zapowiadają apokalipsę i ponowne nadejście Chrystusa. Pokątni handlarze sprzedają reklamówki i podkoszulki z obrazem grzyba atomowego i napisem: JEZU PROWADŹ NAS DO NIEBA. Inni zbijają fortuny, oferując przyciemnione okulary pozwalające na bezpośrednią obserwację eksplozji.

Wielu tańczy przy dźwiękach ulicznych orkiestr Armii Zbawienia, niektórzy kochają się na opustoszałym Times Square, a ty myślisz, że to, co naprawdę grozi miastu, to nie wybuch bomby atomowej, lecz inwazja szczurów. Czy nie byłoby podobnie, a nawet tak samo? W pospiesznie wznoszonych świątyniach wierni śpiewaliby hymny i czcili złote posągi szczurów.

Czujesz mdłości. W narastającym szaleństwie obrazów jedynym wyjątkiem będzie przerwa na reklamy z zapowiedzią obniżki cen u Zwariowanego Eddiego. Nie czekając na zakończenie filmu, podnosisz się z krzesła i ruszasz do toalety.

W zimnym, wyłożonym spękanyymi kafelkami pomieszczeniu nie ma nikogo. Obmywasz twarz, opierasz się o ścianę i zapalasz papierosa. Krople wody ściekają ci po policzkach. Zrzucony z bębna zwój papierowego ręcznika leży podeptany na posadzce. Wycierasz mokre ręce o nogawki.

Wracasz na salę i zamawiasz jeszcze jedną whisky. Tymczasem film się skończył i jakiś komik parodiuje przemówienie prezydenta. Zapadający zmierzch przyciąga nową falę gości. Nie jest już tak sennie jak uprzednio. Czujesz, że nowo przybyli, owi Książęta Nocy, starzejący się faceci w marynarkach o jaskrawych kolorach lubią ten lokal, jako że każdy z nich ma w oku ów błysk nadziei, że właśnie tego wieczoru kobieta z ich snów wynurzy się z mroku i rozbudzi ich uśpione ciała. Ale nadzieja podsycana kolejnymi porcjami alkoholu szybko przeradza się w zniechęcenie.

Przy barze, niedaleko twego stolika, zauważasz zgrabną blondynkę. Na kolanach trzyma dużego, pręgowanego kota. Zajęta rozmową bawi się z kotem, który atakuje ją uderzeniami łapy. Gdy pazury zwierzęcia wczepiają się w jej udo obleczone w nylonową pończochę, blondynka krzyczy z bólu i łapie się za smukłą nogę. Widzisz wyraźnie lecące oczko i nagą skórę, na której pojawiają się kropelki krwi. Sycząc z bólu, blondynka wyrywa pazury kota zakotwiczone w udzie, a ty myślisz, jak dawno już nie byłeś z kobietą, nie chcąc zerwać ostatniej nici, jaka łączy cię z Galią.

17

Wracasz do domu i kładziesz się do łóżka. Śpisz krótko, niecałą godzinę. Pragniesz wypocząć i wypaść się do woli, lecz pragnienie to powoduje odwrotną reakcję – nie możesz nawet zmrużyć oka. Alkohol paruje, pozostawiając osad goryczy na podniebieniu. Drżysz z podniecenia i niepewności. Próbujesz liczyć uderzenia serca, nie myśleć o niczym. Ale i to nie pomaga. Dajesz za wygraną. Wstajesz, idziesz do łazienki. Myjesz się i golisz inaczej niż zazwyczaj – precyzyjnie i powoli – tak jakbyś czekał na jakiś ważny egzamin lub szykował swe ciało do trumny.

Za oknami panuje jeszcze ciemność, lecz wzbierająca w oddali fala hałasu zwiastuje nadejście poranka. W świetle lampki nocnej przymierzasz koszulę i spodnie. Pragniesz ubrać się tak, by Galia nie zorientowała się, jak wiele znaczy dla ciebie to spotkanie. Umyty i ubrany siadasz w fotelu. Od spotkania dzieli cię jeszcze kilkanaście godzin. Idziesz do kuchni zjeść śniadanie, ale widok otwartej lodówki przyprawia cię o mdłości. Nie jesteś w stanie dotknąć niczego ani, tym bardziej, usiedzieć dłużej w domu. Po raz ostatni przeglądasz się w lustrze i wychodzisz.

Miasto oblewa spopielała szarość świtu. Uliczne latarnie odbijają się w taflach okien. Drapacze chmur, niczym potężne transatlantyki, majestatycznie wynurzają się z oparów gęstej mgły. Skręcasz ma-

chinalnie w stronę stacji metra na rogu Lexington Avenue. Idziesz coraz szybciej, jakbyś spieszył się na ranną zmianę.

Ruchome schody zwożą cię na peron. Nie wiedząc, dokąd jechać, przechadzasz się tam i z powrotem. Jest cicho i spokojnie. O tej porze peron jest niemal pusty. Tylko w środkowej części stoi kilku mężczyzn. Mając opuchnięte z niewyspania twarze tkwią pośród śmieci i niedopałków, uwięzieni w martwym świetle jarzeniówek.

Przemierzasz całą długość peronu i zatrzymujesz się w pobliżu wylotu tunelu prowadzącego do Queens. Często, gdy stoisz w tym miejscu i czekasz na kolejkę, zastanawiasz się, jak głęboko pod East River zapada się ów tunel znaczony perspektywą światła. Ile razy próbujesz je zliczyć, zawsze tracisz rachubę. Stacja, na której się znajdujesz, jest pierwszą na Manhattanie, zatem tunel musi skręcać w górę, gdzieś pod Roosevelt Island, pośrodku East River. Ale z peronu wydaje się, że tunel nie ma końca.

Odchodzisz parę kroków i znów wracasz, by zajrzeć w ciemną gardziel. Jej wilgotny oddech wciąż nie zdradza obecności kolejki. W tunelu panuje ciemność, większa niż zazwyczaj; nie widać nawet szyn, jakby pokryte były farbą pochłaniającą światło. W pewnej chwili wydaje ci się, że dostrzegasz w głębi jakiś ruch. Czekasz, lecz nic się nie dzieje. W końcu tracisz zainteresowanie. Nie spiesząc się, podchodzisz do grupki pasażerów w środkowym sektorze. Zapalasz papierosa i zamierasz w pół ruchu. Papieros wypada ci z otwartych ust. Toczy się po peronie.

Nadbiegające masy szczurów wypełniają torowisko. Stada pędzą przed siebie popychane jakąś niewidzialną siłą. Stłoczone szczury wskakują sobie na grzbiety, chcąc znaleźć choćby skrawek wolnej przestrzeni. Z ich wilgotnej sierści buchają kłęby pary, nasączając powietrze stęchłym odorem. Ogarnia cię lęk, że twoje ubranie nasiąknie tym zapachem i Galia, czując go na tobie, odwróci się ze wstrętem.

Szczury płyną w ciszy – słysząc jedynie przypominające szum deszczu staccato ich pazurów uderzających o beton i szyny. Coraz liczniejsze hordy wydostają się z ciemnej głębi i, niczym podziemna rzeka, kierują się wprost ku centrum Manhattanu. Trwa to jakiś czas, zanim silniejszy podmuch powietrza zapowiada przyjazd kolejki. Zdobywasz się na odwagę i spoglądasz w czeluść tunelu. Już tylko pojedyncze sztuki gonią bezładnie za stadem. Łapane w kleszcze reflektorów rzucają się do panicznej ucieczki.

Strzępy gazet i śmieci wirują uniesione gwałtownym podmuchem. Kolejka wjeżdża na stację, a piski miażdżonych szczurów zagłusza łoskot kół. Automatyczne drzwi otwierają się. Wskakujesz do wagonu. Jesteś uratowany. Tęga kobieta, która wsiadła razem z tobą, wpada w histerię. Chce ostrzec nielicznych pasażerów siedzących w sennym odrętwieniu, ale ci reagują obojętnie na jej chaotyczną opowieść. Zawstydzona, siada w milczeniu. Płacze.

Drzwi zamykają się z sykiem i pociąg rusza. Coraz szybszy stukot kół brzmi inaczej niż zwykle, bardziej głucho, przerywany co chwila zduszonym piskiem. Nachodzi cię dziwna myśl: tylko ty świadom jesteś pewnych rzeczy, o których reszta wokół ciebie nie ma pojęcia; przeżyłeś już wcześniej coś podobnego, we śnie. I cóż z tego, myślisz z goryczą, skoro wszystko, co wiesz, musisz zachować dla siebie, przejść nad tym do porządku dziennego, tak by nie potraktowano cię jak tej rozhisteryzowanej kobiety.

Odwracasz się plecami do reszty pasażerów i wachasz ukradkiem rękaw marynarki. Robi ci się niedobrze. Postanawiasz wysiąść na najbliższej stacji, wrócić do domu i zmienić ubranie. Wysiadasz na rogu Piątej Alei i Central Parku, lecz zapach drzew powoduje zmianę planu. Ruszasz do parku, licząc, że świeże powietrze uwolni cię od szczurzego odoru.

18

Schodząc alejką prowadzącą do sadzawki, zauważasz rząd białych tabliczek. Wkopane w trawnik zroszony poranną wilgocią, nakazują spacerowiczom, aby trzymali swe psy na uwięzi. Poniżej, wypisana drobniejszym drukiem, znajduje się informacja: *Z powodu intensywnej akcji odszczurzania okoliczne trawniki posypano strychnią.*

Nareszcie poczyniono jakieś kroki przeciw pladze szczurów, myślisz z ulgą; przynajmniej tutaj jesteś bezpieczny. Mijasz nieczynny o tej porze Wollman Memorial Rink i dostrzegasz dąb, którego rozłożyste konary rzucają głęboki cień na pustą ławkę. Siadasz. Masz przed sobą szeroką przestrzeń Sheep Meadow. Dalekie pasmo drapaczy zachodniej strony Manhattanu, zaakcentowane budynkiem Dakoty, rozżarza się purpurą wschodzącego słońca. Wdychasz kilka haustów chłodnego powietrza i nawet nie wiesz, kiedy oczy ci się zamykają. Pogrążasz się w zwierzęcym śnie.

Koło południa, oślepiiony blaskiem słońca, przecierasz zaspane powieki. Zastanawiasz się, czemu zamiast budzić się we własnym łóżku, wtulasz głowę w kępę zmiętej trawy. Leżysz półprzytomny, zanim uświadamiasz sobie, że byłeś tak zmęczony, że nie poczułeś nawet, kiedy osunąłeś się z ławki. A jeśli zapałeś i spóźniłeś się na umówione spotkanie?

Zrywasz się na równe nogi. Chcesz biec w kierunku stacji metra, ale rzut oka na zegarek uspokaja cię. Jest dopiero za kwadrans dwunasta. Oddychasz z ulgą i siadasz ponownie. Masz zawroty głowy, a zeszywniały język nie potrafi zwilżyć spękanych warg. Znowu oblatuje cię strach i niepewność powodowana zbyt długą rozłąką. Spotkanie z Galią, do którego przygotowywałeś się tak skrupulatnie, zamienia się coraz bardziej w zbędny i męczący obowiązek. Wiesz już bowiem, że na twój kruchy i bolesny stan tęsknoty Galia odpowie przerażającą normalnością i zabójczo dobrym humorem.

Wąchasz ubranie. Zamiast szczurów czujesz teraz zapach świeżej trawy. Przypominasz sobie o białych tabliczkach i ciarki przechodzą ci po grzbiecie. Kucasz, by wykryć w trawie jakiegokolwiek ślady strychniny. Nerwowo rozsuwając zarośla, uświadamiasz sobie własną przesadę; przecież nie mogli zatruć całego parku. Pewnie wysypali trutkę u wylotów tuneli, koło kanałów i piwnic okolicznych restauracji. Mimo to nie umiesz pozbyć się wstrętu.

Zdejmujesz marynarkę, wieszasz ją na oparciu ławki i zatapiasz się w obserwacji parku. W niewielkiej odległości kilku chłopców ćwiczy rzuty piłką baseballową. Na przyszyżonym trawniku, tuż obok alejki, śpi mężczyzna. Czyż wszyscy zachowywaliby się w ten sposób, gdyby wiedzieli o trutce? Nie, to niemożliwe, by cały park wyspany był strychniną.

Spomiędzy drzew wyłania się postać Hindusa w białym turbanie. Prowadzi na postronku krowę. Chce ci się śmiać – czegoż ten człowiek, żywcem wyjęty z broszury zachwalającej uroki New Delhi, szuka w centralnym parku Nowego Jorku? Może spokojnego kąta, gdzie mógłby się pograć w medytacji?... Próbujesz wyobrazić sobie, jak ty byś się modlił, gdybyś tylko potrafił. Ukląkłbyś na ziemi, wyciągnął ręce ku niebu, i co dalej? Prawdopodobnie byś milczał lub zaczął mniej więcej tak: „Dobry Boże, dzięki za wszystko, co

dla nas uczyniłeś na tym cudownym świecie. Dziękujemy Ci, lecz nie skorzystamy z przysługi. Wszak wolimy kaleczyć się i osiadać na codziennych mieliznach. Wszak wolimy zasypiać z garścią piasku w ustach. To niezdarne ciało, które nam dałeś, nie pozwala na odczucie rozkoszy, a zamulone głowy ciężą ku ziemi. Przeraziłwiewie boimy się śmierci, toteż przywykliśmy umierać za młodu, chociaż nasze ciała grzebane są dopiero po latach. Nie umiemy kochać. Nie umiemy nawet pomóc sobie...”.

Wstajesz z ławki i ruszasz w stronę Piątej Alei. Godziny dzielące cię od spotkania z Galią wloką się w nieskończoność. Mijając ogród zoologiczny, wstępujesz doń dla zabicia czasu. Dobiegający zza płotu hałas ulicy, wrzaski dzieci, widok metalowych prętów i osowiałych zwierząt rozdrażniają cię. Szybko ruszasz ku wyjściu.

Gdy zjeżdżasz ruchomymi schodami na peron metra przy Lexington Avenue, ciepły podmuch powietrza unosi suknie jadących przed tobą kobiet. Czujesz zapach perfum i zastygasz ogarnięty nagłym wrażeniem obecności Galii. Dygoczesz, zdając sobie sprawę, że jest to już przedsmak tego, co cię niebawem spotka. Za kilka godzin zobaczysz ją naprawdę, weźmiesz w ramiona i będziesz kochał. Jednak lęk powraca.

Nie umiesz otrząsnąć się z ponurych myśli, gdy siadasz w kącie wagonu i błędzisz wzrokiem po gąszczu graffiti pokrywającym każdą ścianę przedziału. Czyż podczas ostatnich miesięcy, kiedy byliście jeszcze razem, umiałeś pozbyć się dręczącego uczucia, że Galia nie potrafi lub nie chce odpowiadać na twoje pieszczoty, że jest jak spokojna, martwa woda? Nie mogąc samemu złapać powietrza, próbowałeś oddychać jej ciałem, które nie było już twoje, albowiem Galia należała już do siebie samej, do swoich doznań i chwil uniesienia. Kiedy gaśło w niej pragnienie miłości, wyskakiwała z łóżka i zamykała się w łazience. Po jakimś czasie kładła się z powrotem bez jednego czułego słowa lub choćby pocałunku. Nie byłeś już jej potrzebny do niczego, ciśnięty w kąt łóżka.

19

Kiedy dopływasz do Staten Island, jest trzecia. Schodzisz z pokładu promu i błądasz się bez celu pomiędzy domami ciągnącymi się wzdłuż prostych ulic, jakich pełno w każdym miasteczku środkowej Ameryki. W końcu docierasz do South Beach, by wpatrzony w brudne wody zatoki, przywołać z pamięci chwile, w których naprawdę byliście szczęśliwi. Wierzysz, że Galia nie może żyć bez ciebie, skoro sama zdecydowała się zadzwonić. Może rozstanie wyszło wam na dobre, pozwoliło uświadomić sobie, że to, co łączy was najmocniej, co stanowi dla was największą wartość, istnieje nadal?

Zbliża się godzina spotkania. Wstajesz. Otrzepujesz piasek przylepiony do ubrania i ruszasz w stronę domu Galii. Już po paru krokach twoje uniesienie znika bez śladu. Nogi uginają się pod tobą, a pulsująca krew rozsadza czaszkę. Idziesz jak na ścieście. A kiedy oczom ukazuje się dobrze znany kontur parkanu, myślisz tylko o ucieczce. Przemagasz się jednak. Wycierasz wilgotną dłoń o nogawkę i naciskasz dzwonek.

Drzwi otwierają się niemal natychmiast. Galia wychodzi na ganek i macha ręką na powitanie. Jest ubrana w znoszony błękitny szlafrok, który wkłada zwykle, gdy robi porządki. Jej niedbale upięte włosy i brak makijażu dziwnie kontrastują z twym starannym ubiorem. Tak jakbyś wpadł z niespodziewaną wizytą.

Podchodzisz, chcesz ją objąć i pocałować, lecz ona odsuwa się; musnąwszy cię lekko ustami w policzek, ciągnie za rękaw w głąb korytarza. Przeprasza, że dopiero co wróciła z biura i nie zdążyła jeszcze przygotować kolacji. Prosi, byś usiadł w fotelu i spokojnie poczekał. Ona tymczasem musi pędzić do kuchni, gdyż inaczej z pieczeni zostanie smoła. Zastanawiasz się, czy z twego powodu musiała się wcześniej wyrwać z pracy, ale jej niedbały wygląd przeczy temu.

Siadasz w fotelu i rozglądasz się ze zdumieniem. Ściany pomalowane są na ohydny różowy kolor, a wszystkie meble, włącznie z figurkami na półkach, poprzestawiane w jakiś rażący cię sposób. Ze smutkiem uświadamiasz sobie, że nie jest to już wasz pokój. Teraz jest to „jej” pokój, urządzone z takim smakiem, o jaki wcześniej nigdy byś jej nie posądzał.

Z szumu lejącej się wody i brzęku mytych naczyń wyłapujesz szczebiot Galii skarżącej się na kłopoty z lodówką, która przestała mrozić. Czujesz, że musisz wstać, wyciągnąć Galię z kuchni i wziąć ją w objęcia; przekonać, że w gruncie rzeczy nigdy się nie rozstałście, że jesteście w tym samym pokoju co kiedyś... Ale nie masz siły. Zaraz będzie pieczeń przyprawiona nowym kolorem ścian i rozstawem mebli.

Galia zjawia się z naręczem talerzy. Ustawia je powoli i włącza telewizor. Wydaje się bardziej spięta niż ty. Patrzysz w milczeniu, jak całą energię wkłada w uświęcony rytuał przygotowania posiłku. Wreszcie siadacie do kolacji, a w krępującej ciszy słyszeć głos telewizora; program o jezuitach, który całe swe oszczędności zapisał w spadku Jezusowi Chrystusowi. Zostawił czterysta tysięcy dolarów Zbawicielowi powracającemu na ziemię po raz drugi i ostateczny.

Chwalisz Galię za wspaniałą pieczeń i pytasz, czemu przemeblowała pokój. Nie odrywając oczu od ekranu, odpowiada, że porozmawia-

cie o tym, gdy skończy się program. Tymczasem reporter oznajmia podekscytowany, że do studia zgłosiło się dwóch osobników, z których każdy utrzymuje, że jest Jezusem i w związku z tym jemu należy się cała suma. Specjalnie powołana komisja zaczyna badać ich ciała, zwracając szczególną uwagę na stygmaty. Eksperci pytają o daty i miejsca urodzeń, o matki i ojców. Wyjaśnienia rzekomych Jezusów nie przekonują jednak prawników ani urzędników bankowych zawiadujących spadkiem, którzy ostatecznie orzekają, że brakuje wystarczających dowodów, by któregoś z pretendentów uznać za Chrystusa.

Galia wstaje od stołu i idzie do kuchni. Po chwili wraca, trzymając w ręku butelkę czerwonego wina. „Kupiłam je specjalnie na tę okazję – mówi – i zupełnie o nim zapomniałam.” Bierzesz od niej wino, otwierasz je i rozlewasz. Chciałbyś wznieść toast za wasze spotkanie, ale myślisz, że lepiej nie zapeszać. W końcu zdobywasz się na odwagę, wstajesz i wyłączasz telewizor.

Podchodzisz do Galii. Obejmujesz ją niezdarnym ruchem i całujesz. Czekaleś na ten moment tak długo, że gdy wreszcie do niego dochodzi, nie czujesz nic. Zawstydzony wracasz na swój fotel. Nie umiając spojrzeć jej w oczy, zaczynasz wyrzucać z siebie zdania, które gromadziły się od miesięcy: mówisz o bólu i cierpieniu; jak bardzo ją kochasz i jak, mimo samotności, byłeś z nią bez przerwy; zasypiasz z jej obrazem pod powiekami; nie możesz chodzić, oddychać ani jeść bez poczucia jej obecności; w hotelu unikasz spoglądania na miniaturę Statuy Wolności, by nie ulec natychmiastowemu pragnieniu podróży na Staten Island, ale – dodajesz – widok tej miniaturowej prawdopodobnie już ci nie grozi, jako że zwolniłeś się bez właściwego usprawiedliwienia i pewnie wyleją cię z pracy.

Pochylona nad potokiem twych słów Galia uśmiecha się. W końcu milkniesz i spuszczasz wzrok. Czujesz ulgę i satysfakcję, chociaż masz świadomość, że to, co mówisz, brzmi płasko, głupio i w naj-

mniejszym stopniu nie oddaje rzeczywistego bólu. Wygłoszone tu i teraz, skierowane do właściwej osoby, słowa nie mają już sensu.

Galia wstaje, podchodzi do lustra w rogu pokoju, wyjmując z torebki puderniczkę i zaczyna pudrować policzki. Patrzysz na nią bezmyślnie, nie wiedząc, co sądzić o jej zachowaniu. Instynktownie czujesz, że najlepiej byłoby wyjść, ale czekałeś na spotkanie zbyt długo, więc nie potrafisz tego uczynić. Świadom, że popełniłeś błąd, zwierając się tak otwarcie, żałujesz, że wszystko zepsułeś. Zapomniałeś, że w każdym związku potrzebna jest doza skrytości, gry i zimnej krwi.

Galia przestanie się malować. Wróci do stołu i zapali papierosa. Nie patrząc na ciebie, powie cicho, że to tylko słowa, „gadanie” – jak to określi – niemające sensu, i najlepiej będzie, jeśli w ogóle przestanie mówić o miłości. „Przecież możemy rozmawiać o czymkolwiek – dodaje po chwili – chociażby o tych facetach, co podają się za Jezusa”. Wpatrując się w stół zastawiony resztkami kolacji, przyznasz jej rację. Zauważysz ulgę na jej twarzy; prosi cię, abyś przyniósł z kuchni butelkę armagnacu. „Rozlej od razu do kieliszków, chyba pamiętasz jeszcze, gdzie stoją?”

Wracasz i widzisz, że Galia rozłożyła na stole przybory do manicure i zabiera się do piłowania paznokci. Czemu robi to właśnie teraz? Bębnisz palcami po blacie stołu, zanurzając od czasu do czasu usta w alkoholu. W końcu zaczynasz mówić jej o szczurach spotkanych w hotelu, metrze i na ulicy. Galia maluje paznokcie z wyrazem skupienia i dopiero gdy opowiadasz o zdechłym szczurze, którego widziałeś wczoraj obok jej domu, na chwilę się ożywia. „Nie żartuj, ja nie widziałam żadnego szczura”. „No to masz szczęście” – odpowiadasz, a ona pyta podejrzliwie: „Ale coś ty robił koło mojego domu?”. Milczysz wściekły, że tak łatwo zdradziłeś się ze swą nieudaną pielgrzymką.

W pokoju robi się ciemno. Wstajesz i zapalasz światło. Blask nagiej żarówki razi cię. Co się stało z żyrandolem? Usiłując zatuszować swój błąd szczerości, stwierdzasz, że wbrew temu, co mówiłeś, czujesz się świetnie i podoba ci się praca w hotelu. Dajesz też do zrozumienia, że często spędzasz noce na zwariowanych przyjęciach, a Laura, twoja zmienniczka, kocha się w tobie. Zmyślasz jakieś bzdury, licząc, że Galia spyta przynajmniej o szczegóły, ale nic z tego.

Pragniesz jej jak nigdy przedtem, mimo że nie wygląda najlepiej. Ostatecznie zdajesz sobie sprawę, że niczego nie wskórasz. „Czy chcesz, żebym już poszedł?” – nie wytrzymujesz. „Rób, jak uważasz” – odpowiada beznamiętnym tonem. „Ale czy ty tego chcesz?” – nie dajesz za wygraną. „Idź, jeśli musisz – mówi – choć wolę, żebyś został”.

Masz już dosyć tej rozmowy. Czujesz się tak, jakby ktoś owijał ci głowę ohydny, mokrym bandażem. Wlewając w siebie kolejną porcję armagnacu, masz wrażenie, że pokój, w którym siedzicie, pokój, który był ci tak bliski, zamienia się teraz w pustynię. Jej blask, suchość i upał są nie do zniesienia, a świeżo pomalowane ściany wiedną w okrutnym świetle. Pomimo nerwowego płukania ust alkoholem twoje gardło jest suche, usta spękane, a przełykanie gęstej śliny staje się coraz trudniejsze. Wkrótce zresztą nie masz już śliny. Dusisz się. W tym domu, który stał się pustynią waszych uczuć, ledwie powstrzymujesz narastającą furję. I przenika cię tylko pragnienie, aby zrobić Galii dziką awanturę o pokój, który zmieniła, o jej szlafrok, nawet o ten cholerny program o Jezusie, o cokolwiek. Ale wiesz, czym to grozi. Nie pozostanie ci nic innego, jak tylko trzasnąć drzwiami, tym razem na zawsze.

Znużona ciszą, Galia nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek i opowiada o swojej pracy. Jest jedną z wielu programistek komputerowych zatrudnionych w dużym przedsiębiorstwie handlu zagranicznego.

Szefem jej działu jest niejaki Bruno, zupełny tępak, któremu ona i jej koleżanki robią bez przerwy kawały. W pewnej chwili, pod wpływem wypitego alkoholu, zaczyna naśladować ochrypły głos swego przełożonego. Śmiejesz się wraz z nią.

Galia podnosi się i prowokacyjnym gestem, niczym Marilyn Monroe dla ubogich, zdejmuje szlafrok. Staje przed tobą w wyzywającej pozie, ubrana jedynie w rajstopy, a ty głupiejesz bez reszty. Zrywasz się z krzesła, by ją pocałować, lecz ona uwalnia się zręcznie z twego uścisku i wolno osuwa na tapczan. Zahipnotyzowany widokiem jej ciała do połowy zapakowanego w nylon rozbierasz się. Chcesz wejść w nią, wierząc, że seks zagoi wasze rany, ale gdy tylko kładziesz się obok, zdesperowany odkrywasz, że Galia zdążyła już zasnąć.

Gorączkowo całujesz jej piersi. Próbujesz zbudzić ją, potrząsając jej głową, wszystko na próżno. Galia śpi jak zabita. Po prostu za dużo wypila. Nie po raz pierwszy zresztą, lecz nie przypominasz sobie, by kiedykolwiek zasnęła tak szybko. Poniżony własnym niezaspokojeniem usiłujesz rozewrzeć jej uda; nawet we śnie Galia nie dopuszcza cię do siebie. Dotykasz jej krocza opiętego nylonem, czując skrajną bezsilność – jak bowiem przedrzeć się przez ową zabójczą, elastyczną pajęczynę? Wyobrażasz sobie, jak zakradasz się z brzytwą, rozcinasz knebel nylonu i wchodzisz w nią niepomny na toczącą się krew. Gdybyś był kimkolwiek, myślisz z goryczą, Galia bez cienia wstydu na twarzy leżałaby z rozchylonymi udami, czekając niecierpliwie...

Zrezygnowany kładziesz się na wznak. Podkładasz dłonie pod głowę i wyrzucasz sobie, że zgodziłeś się na to bezsensowne spotkanie z kobietą, którą jest twoją torturą. Nie masz wątpliwości, że dotarłeś do kresu, że dalej już tak nie możesz żyć, i w tej samej chwili przypominasz sobie dźwięk kornetu Chaima. Pojmujesz wtedy, że jest to dźwięk czystego bólu, przenikający ludzi, powietrze i ściany niczym

jęk syren tysięcy ambulansów spieszących na ratunek. Co się dzieje z Chaimem? Czy jeszcze spotkasz go kiedyś? Gdyby tylko był gdzieś w pobliżu, wyłonił się z mroku i zaczął grać, Galia przebudziłaby się z najgłębszego snu i otworzyła niczym kwiat. Przeniknięty tym obrazem przywierasz ponownie do jej kamiennego ciała i całujesz spierzchniętymi ustami, zdzierając rajstopy jak spaloną skórę.

Wchodzisz w nią, kochasz, ale Galia nie porusza się, kamienna, szorstka, pokryta pyłem pudru. Zmiażdżony nie możesz objąć jej ani dotknąć poprzez te wszystkie betonowe zapory paznokci, noży, obieranych kartofli, telewizorów, puderniczek i szlafroków. Przedzierasz się przez obrazy zasuszonych rajstop, przepoconych pantofli z ciemnymi odciskami jej stóp, mdłych papierosów, niedopałków ze śladami szminki, popiołu i suchości – i marzysz o kropli wilgoci. Kropli, która użyźniłaby i zniwelowała tę pustynię. Kropli, która jest łaską.

20

Będziesz musiał złapać taksówkę, spędzić puste godziny w wyzębionej poczekalni, płynąć promem, wpatrując się w ciemność parującą za oknami, aż wreszcie dotrzesz do domu i położysz się do łóżka, pragnąc wymazać z pamięci miniony wieczór. Spojrzysz jeszcze na rozrzucone po podłodze części twej starannie dobranej garderoby i uśmiechniesz się. Chwilę potem zaśniesz.

Jest noc. Idziesz Wschodnią Sześćdziesiątą Trzecią. Posuwasz się z trudem, tak jakby z przeciwka wiał silny wiatr. Wiatr, którego nie ma. Pod stopami wyczuwasz obecność nieznanych, zwiniętych w kłębek stworzeń; chciałbyś sprawdzić, co to, ale boisz się. Jęki i piski wypełniają miasto, wzmagają się z przerażającą siłą, by zgasnąć nagle w jeszcze bardziej niepokojącej ciszy. Depcząc pogrążone we śnie ciała, posuwasz się z nadzieją, że umkniesz owym nieruchomym istotom, które nie stawiają oporu twoim stopom, i znajdziesz się koło swego domu. Mógłbyś wreszcie przestać się bać i powitać portiera.

Do twych uszu dociera głuchy odgłos, a zaraz potem szczęk uderzających o chodnik kamieni. Zatrzymujesz się, pragnąc dojrzeć, skąd spadają, ale ciemność ponad ulicznymi latarniami jest nieprzenikniona. Przeczuwając grożące ci niebezpieczeństwo, przywierasz do ściany najbliższego budynku. Dotykasz szorstkiego tynku, żeby poczuć się pewniej.

Ruszasz naprzód i po paru krokach dostrzegasz znajomą fasadę swego domu. Czujesz ulgę, ale dziwi cię, że spod zawieszanej nad bramą markizy wystaje sporych rozmiarów tuba. Tuba, która rozciąga się na całą szerokość jezdni. Nie masz pojęcia, czemu służy: jej średnica równa jest szerokości drzwi wejściowych, po czym zwęża się w ostry szpic. Jest różowa, naznaczona w równych odstępach poprzecznymi pręgami. W mrocznym świetle latarni lśni matowym blaskiem przypominającym spoconą, nieowłosioną skórę.

Podchodzisz bliżej, sądząc, że uda ci się jakoś obejść tę dziwną przeszkodę, która, jak przypuszczasz, jest urządzeniem, lecz tuba wypełnia szczelnie całą szerokość wejścia. Nawet masywna framuga drzwi jest wyrwana z muru i wepchnięta do środka, chodnik przed domem zaś zasypany odłamkami cegieł i szkła.

A więc stąd dochodził ów hałas, myślisz, zapewne w domu wydarzył się jakiś wypadek, zalało piwnicę albo wybuchł gaz, a to dziwne urządzenie jest pompą ssącą lub też nowym typem wentylatora. Podejrzewasz nawet, że wypadek wydarzył się w twoim mieszkaniu. Ale nie, to niemożliwe. Zawsze przed wyjściem wszystko dokładnie sprawdzasz. W porządku, dedukujesz, widocznie musi być jakiś powód, że zamontowano tubę, ale co ma zrobić lokator, który w środku nocy chce dostać się do mieszkania?

Tracisz cierpliwość i chcesz przywołać portiera, lecz w tym samym momencie ziemia drży, a ze ścian sypią się nowe kawałki cegieł i szkła. Spiczasty koniec tuby unosi się i zwiją w stronę domu, tworząc gigantyczną spiralę podobną do skamieniałej ślimacznicy. Po chwili rozwija się na powrót, waląc z hukiem o jezdnię.

Stajesz jak wryty. Wszystko to wydarza się zaledwie kilka kroków od ciebie. Tuba mogła cię okaleczyć, nawet zabić. Chcesz uciekać, ale nie możesz ruszyć z miejsca. Opanowany ciekawością podchodzisz

z zamarłym sercem do tuby, wyciągasz dłoń i kładziesz ją ostrożnie na porowatej, różowej powierzchni.

Jest ciepła i miła w dotyku. Czujesz jej wilgoć i stłumioną vibrację. Tak jakby w jej wnętrzu pulsował ukryty mechanizm. Nagle zdajesz sobie sprawę, że to, czego dotykasz, nie może być urządzeniem. Jest żywą istotą.

Cierpie ci skóra, gdy z przerażeniem uświadamiasz sobie, że jest to ogon. Ogon gigantycznego szczura, który rozparł się we wnętrzu domu i pożera teraz mieszkania wraz ze śpiącymi lokatorami.

Jakby na potwierdzenie twych domysłów ściana wokół nasady ogona pęka, a ze szczelin wyrastają metrowe ostrza zjeżonej sierści. Jęki ludzi wdzierają się w ciszę i nikną zagłuszone kosmicznym sapaniem bestii.

Chrzęst kamieni rozlega się ponownie. Pod naporem rosnącego brzucha coraz większe płyty tynku osypują się na ulicę. Deszcz szkła rozpryskuje się pod twoimi stopami, a budynek rozpada się na pół. Najłżejsze poruszenie bestii zawala coraz to nowe ściany.

Eksplodująca bryła tynku rani cię w rękę. Uskakujesz w bok, szukając bezpiecznego miejsca, lecz go nie znajdujesz. Odłamki szkła, metalu i cegieł trafiają w ciebie. Krwawisz. Czujesz piekący ból w okaleczonej dłoni, którą tak niedawno próbowałeś pieścić Galię. Budzisz się z przeraźliwym krzykiem i siadasz na łóżku.

Dyszysz, jakbyś biegł przez dłuższy czas. Z rogu pokoju słychać zduszony pisk. Zapalasz lampkę i zauważasz głębokie nacięcie na opuszkę palca. Z otwartej rany sączy się krew. Niczego nie pojmujesz. Twoje ciało pokrywają ślady ostrych zębów, chociaż nie są tak głębokie jak ten na palcu. Niektóre z ran zdążyły spuchnąć. Wstajesz i sprawdzasz łóżko. Pogniecione prześcieradło pokrywają plamy świeżej krwi.

Krążąc po pokoju i potykając się o meble, zapalasz wszystkie lampy. Szukając szczura, który jak przypuszczasz, zaatakował cię podczas snu, odkrywasz na podłodze wilgotne ślady łapek. Jest ich całe mnóstwo. Klęskasz, by zajrzeć pod łóżko, ale sterty książek zasłaniają widok. Boisz się włożyć rękę. Wstajesz i idziesz do kuchni po latarkę.

Po powrocie do pokoju czołgasz się, by wypłoszyć szczury. Ryzykując awanturę z sąsiadem, przesuwasz z hałasem ciężkie żeliwne łóżko odziedziczone po poprzednim lokatorze. Między stertami książek nie ma ani jednego gryzonia. Może pochowały się w innych kątach? Oświetlasz po kolei wszystkie ciemniejsze zakamarki. Ani śladu. Rodzi się w tobie podejrzenie, że twoje absurdałne czynności są fragmentem koszmarnego snu. Lecz twój palec naprawdę krwawi.

Posadzka łazienki jest mokra. Kłapa muszli klozetowej uniesiona. „Ty idioto – mówisz głośno – czemu od razu nie pomyślałeś?” Przecież tylko stąd mogły prowadzić wilgotne ślady. Szczury musiały przypłynąć rurami kanalizacyjnymi. Wydostały się przez muszlę klozetową, a potem cię pokąsały. A gdy się zbudziłeś, uciekły w popłochu tą samą drogą. Zamykasz kłapę i siadasz na niej. W porządku, myślisz, nawet jeśli ta teoria jest bez sensu, to jak, na Boga, wytłumaczyć fakt, że posadzka w łazience jest mokra, a twoje ciało pokrywają piekące rany?

Ubezpieczając się przed kolejną inwazją, przynosisz z pokoju telewizor i stawiasz go na kłapie muszli. Trochę uspokojony zabierasz się do opatrywania ran. Przemywasz je wodą kolońską, sycząc z bólu, i wcale nie jesteś pewien, czy stanowi to wystarczającą ochronę przed zakażeniem.

Spoglądasz na zegarek. Dochodzi czwarta nad ranem. Zmieniasz prześcieradło. Kładziesz się zmęczony, ale boisz się zasnąć. Pozapalane światła rażą cię w oczy. Gasisz je, postanawiając czuwać

po ciemku. Mimo zdenerwowania zasypiasz, lecz budzisz się raz za razem i wyskakujesz z łóżka, by zapalić światło i sprawdzić, czy nie dzieje się coś podejrzanego. Badasz nawet, czy telewizor jest na tyle ciężki, by uniemożliwić otwarcie klapy. Kilka razy urządzasz „pułapkę ciemności”, jak sam ją nazywasz; w ciemnościach idziesz do łazienki, zdejmujesz po cichu telewizor, a kiedy jakiś chrobot w rurze budzi twe podejrzenia, błyskawicznie podnosisz klapy, zapalasz latarkę i usiłujesz dojrzeć pysk szczura ukrytego pod powierzchnią wody. Dopiero nad ranem, śmiertelnie zmęczony, zapadasz w głęboki sen.

21

Zbudzisz się koło południa – gdy oprzytomniejesz, wydarzenia ostatniej nocy przywołają twój lęk. Musisz koniecznie z kimś porozmawiać. Po namyśle decydujesz się zadzwonić do Neila. Przysuwasz aparat i wybierasz numer. Nikt nie odpowiada. Podejrzewasz, że Neil, pochłonięty swym elektronicznym kosmo-
sem, nie słyszy nawet telefonu. W końcu podnosi słuchawkę.

Ucieszony twym telefonem pyta, jak sobie radzicie bez niego w hotelu i co w ogóle u ciebie słychać. „Wszystko byłoby w porządku – odpowiadasz – gdyby nie szczury. Ciągłe spotykam szczury, pogryzły mnie nawet podczas snu.” Odruchowo dotykasz obrzęklej rany na palcu, jakby chcąc się upewnić, że to, co mówisz, jest prawdą. Neil śmieje się, sądząc, że żartujesz. „Pewnego razu – mówi, chichocząc – w kanałach Nowego Jorku zagnieździły się aligatory. Karaluchy są tam już od wieków, a teraz najwyraźniej wybuchła bomba demograficzna szczurów. W Nowym Jorku wszystko jest możliwe.”

Opisujesz drobiazgowo wydarzenia zeszłej nocy. Stary wydaje się nieco zaniepokojony. Przestaje chichotać. Do twoich uszu dociera teraz jego świszczący oddech. Słyszysz, jak mocno zaciąga się papierosem. Spodziewasz się, że za chwilę ze słuchawki wyleci gęsty dym. Prosi, abyś zaczekał, a on w tym czasie pójdzie po książkę telefoniczną. Wraca i każe ci zapisać numer „znakomitego”

psychiatry-psychoanalitka o włoskim nazwisku De Louri, z którym zaprzyjaźnił się kiedyś podczas rejsu na *Queen Mary*.

Dziękujesz za informację, chociaż bardziej niż psychiatry potrzebujesz kogoś, kto zbada, czy twoje rany nie są przypadkiem zakażone. Neil rozprasza twoje wątpliwości, twierdząc, że profesor zna się na wszystkim. A gdy obawiasz się, czy stać cię będzie na tak kosztowną wizytę, stary odpowiada uspokajającym tonem: „Wystarczy, jak powiesz, że to ja cię poleciłem.” Odkładasz słuchawkę i po chwili wahania wykręcasz numer doktora.

Sekretarka pyta, czego sobie życzysz. Wspominasz o Neilu Stain-tonie, a ona zaczyna bombardować cię serią rutynowych pytań: kiedy pojawiły się pierwsze symptomy choroby, jaki jest ich charakter oraz jaki masz numer polisy ubezpieczeniowej. Jąkając się, snujesz mętłą opowieść o szczurach i kłopotach z nimi związanych. Kobieta przerywa ci, żądając dokładniejszych wyjaśnień. Nie bardzo wiesz, jak odpowiedzieć na dwukrotnie zadane pytanie: „Kiedy zaczęły się pańskie halucynacje?” „Jakie znów halucynacje?” – odpowiadasz ze zdumieniem. Przecież to wszystko zdarzyło się naprawdę, czego namacalnym dowodem są twoje rany.

Nie ukrywając zniecierpliwienia, kobieta informuje cię oficjalnym tonem, że profesor De Louri jest w tej chwili bardzo zajęty, jego czas jest bardzo cenny, a poza tym wszędzie roi się teraz od szczurów: zaledwie wczoraj jej mąż zatłukł jednego w piwnicy. „Dziwi się pan? – pyta retorycznie. – Jest recesja. Nie słyszał pan o strajku śmieciarzy?... Miasto tonie w brudzie, nie ma funduszy... Szczury tylko na to czekają... Niech pan sobie lepiej kupi trutkę!”

Odkładając słuchawkę, masz wrażenie, że to sekretarka zachowywała się jak ktoś niezrównoważony – ostatnie zdania wykrzyczała z wyraźną histerią w głosie. Cóż, u diabła, wspólne może mieć recesja ze szczurami? Z drugiej strony nie powinienes tak łatwo ulec

Neilowi. Skierował cię do psychiatry, mimo że nie jesteś psychicznie chory – jesteś boleśnie pokąsany.

Siadasz na brzegu łóżka. Rany pieką cię bardziej niż przedtem. Pulsują równym rytmem krwi. Myślisz o Chaimie, o przejmującym dźwięku jego kornetu, i gdzieś w głębi świta ci myśl, że jedynym lekarstwem, które mogłoby cię uleczyć, jest ta dziwna muzyka. Uspokojony, z obrazem Chaima pod powiekami, wreszcie zapadasz w płytki sen.

22

Zaledwie po godzinie budzisz się wypoczęty, jakbyś spał przez stulecia. Nie czujesz już dotkliwego bólu. Leżysz spokojnie, myśląc o Galii, o tym, jak wiele was teraz dzieli; wspomnienia o niej przestały cię ranić. Ostrożnie wstajesz z łóżka pełen obaw, czy bóle nie powrócą, ale nie, nic nie czujesz. Dzwoni telefon, podnosisz słuchawkę. Nieznajomy głos zaprasza cię na spotkanie, dziś po południu. Słyszając nazwisko De Louri, domyślasz się, że Neil musiał skontaktować się ze swym przyjacielem.

Profesor przeprasza za zachowanie sekretarki i pyta, jak się czujesz. Myślisz, że naprawdę musi lubić Neila. Starając się być miły, zapewniasz, że czujesz się lepiej i nie ma powodu, by martwić się o twoje zdrowie. On nalega jednak, abyś wpadł do niego koniecznie dzisiaj, zwłaszcza że jeden z jego pacjentów odwołał wizytę. W końcu zgadzasz się, nie chcąc popsuć stosunków między nim a Neilem.

Idziesz do łazienki i myjesz się. Zdejmujesz telewizor z klapy sedesu. Powodowany wstrętem powstrzymujesz się przed jej otwarciem. Gdy jednak stwierdzasz, że najwyraźniej zaczynasz zachowywać się jak pacjent kliniki psychiatrycznej, przenosisz telewizor z powrotem do pokoju, ubierasz się i robisz coś do jedzenia. Kończąc posiłek, uświadamiasz sobie, że nie masz już zbyt wiele czasu. Wrzucasz brudne naczynia do zlewu i ruszasz do wyjścia.

Tuż za progiem ogarnia cię nieodparta chęć zabezpieczenia swego mieszkania na wypadek kolejnej inwazji. Wahasz się. Próbujesz wymyślić coś sensownego. Telewizor postawiony na muszli, tak jak poprzednio? Pomysł ten wydaje się przesadzony. Przychodzi ci do głowy inne rozwiązanie. W kącie pokoju leży stos gazet, które już dawno miałeś wyrzucić na śmietnik. Bierzesz je i rozkładasz na łóżku, stole i reszcie mebli.

Myślisz o swoim ojcu, który zawsze rozścielał gazetę pod szklanką z gorącą herbatą, by nie uszkodzić stołu. Gdy przyniósł do domu nowe radio, również podkładał pod nie gazetę. Nawet gdy wracał zmęczony z pracy i wyciągał nogi na krzesło, nigdy nie zapominał o podłożeniu gazety, mimo że zaraz przy drzwiach zdejmował buty. Weźmiesz kilka gazet, tak jak on by to zrobił, i pokryjesz nimi niemal całą podłogę, choć na dobrą sprawę nie umiesz wytłumaczyć sobie, w jaki sposób te cienkie stronice, suche jak liście, miałyby ochronić mieszkanie przed plagą szczurów.

23

Gdy wyjdiesz z domu, na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Drugiej Alei zauważysz gromadę murzyńskich wyrostków. Wyskakują co chwila na środek jezdni, by przetrzeć szyby samochodów stojących na czerwonym świetle i wymusić opłaty od załęcznionych kierowców. Tuż obok, przy ogrodzeniu budowy nowej stacji metra, niepozorny mężczyzna w wymiętym palcie przypina sobie kawałek brystolu, na którym wymalowane koślawo hasło nawołuje przechodniów, aby poparli międzynarodową akcję na rzecz wyzwolenia mężów. Za wstążką jego wytłuszczonego kapelusza tkwi ulotka z widocznym z daleka napisem: PRECZ Z TYRANIĄ ŻON!

Wciśnięty pomiędzy wysokie kamienice dom profesora ma zaledwie trzy piętra. Nad bramą widnieje błyszcząca mosiężna tablica informująca, że do roku 1919 budynek był własnością córki Vanderbilta, potem odkupił go Dillinger, ostatni wspólnik Ziegfelda, ostatecznie zaś stał się rezydencją Gypsy Rose Lee, królowej striptizu, o której barman Karl zwykł mówić, że „tylko ona umiała dodawać przez odejmowanie”. Widziałeś uprzednio ten dom, ale nigdy nie udało ci się zauważyć w nim żadnych śladów życia. Zastanawiałeś się nawet, czy ktokolwiek w nim mieszka. I oto zagadka została rozwiązana. Naciskasz dzwonek.

Rzeźbione, polakierowane na czerwono drzwi uchylają się na tyle, abyś mógł dostrzec przygarbioną postać. Profesor pyta cię

o nazwisko, a gdy przedstawiasz się, bierze pod ramię i prowadzi korytarzem przed ścienny zegar, którego wskazówki posuwają się w odwrotnym kierunku. Uśmiechając się przyjaźnie, wypomina ci trzyminutowe spóźnienie.

Mamroczesz słowa przeprosin, nie mogąc oderwać oczu od dziwacznej tarczy zegara. Odnosisz wrażenie, że – jak w lustrzanym odbiciu – czas płynie tutaj do tyłu, tak jakbyś znalazł się w dwóch wymiarach czasu, lub nie ma go wcale.

Profesor dotyka twego ramienia i prowadzi w głąb domu. Opowiada anegdoty z czasów wspólnej podróży z Neilem. Nie słuchasz ich zbyt uważnie. Wąskimi schodami dochodzicie do korytarza oddzielonego szklaną ścianą od patio, na którym wiklinowe fotele padły ofiarą deszczu i wiatru. Inne schody prowadzą do pokoju przeszyconego zapachem starych książek i marmuru. Wodząc wzrokiem po staroświeckich fotelach, szafach, wazach, ogromnych popielnicach, tacach i malowidłach z różnych epok, zastanawiasz się, czy nie wszedłeś przypadkiem do rekwizytorni lub sklepu z antykami.

Profesor podchodzi do kamiennej półki nad zimnym paleniskiem kominka i zdejmuje z niej hebanową figurkę nagiej kobiety. Jej twarz nie ma rysów, kibić jest pełna, sterczące pośladki zaś mają w sobie coś z lubieżności, jaka pojawia się w zniżonym głosie De Louriego, gdy pyta: „Czyż nie jest piękna?”. Przytakujesz. Profesor gładzi wypukłości rzeźby czubkiem wskazującego palca i wyznaje, że od kiedy kupił ją na pchlim targu, nie potrafi przestać jej pieścić.

„Wreszcie pojąłem, czym jest fetyszizm” – niemal szepcze, a ty milczysz, uśmiechając się z zakłopotaniem. Profesor zaciska palce wokół figurki i chowa ją głową w dół do kieszeni spodni. Proponując, żebyście przeszli do biblioteki, która służy również za gabinet przyjęć, podchodzi do ściany i naciska guzik ukryty za pozłacaną listwą biegnącą wokół pokoju. Ściana rozsuwa się.

Obite ciemnym jedwabiem wnętrze staroświeckiej windy pełne jest idyllicznych scen z nagimi nimfami i pulchnymi amorkami umierającymi z zachwytu na tle alizarynowego nieba. Po krótkiej jeździe pełnej stłumionych szmerów winda zatrzymuje się, profesor zaś, nie otwierając drzwi, stwierdza, że najpierw chciałby ci pokazać jadalnię. Naciska guzik i zjeżdżacie do piwnicy.

Winda jęczy, krztusi się i zatrzymuje, ukazując pokój w kremowym kolorze, przypominający niewielkie mauzoleum, pośrodku którego zamiast katafalku stoi długi, dębowy stół. De Louri klaszcze w dłonie, a ty, sądząc, że wzywa służbę, spoglądasz na jedyne drzwi, częściowo ukryte za aksamitną kotarą. Nikt się nie zjawia, a profesor wskazuje na ścienny zegar. Migoczące cyfry odmierzają czas z dokładnością do jednej setnej sekundy. Klaszcze w dłonie po raz drugi i cyfry gasną. De Louri wyjaśnia, że uwielbia zegary i gadżety i zdążył już zebrać pokaźną kolekcję; jeśli nie masz nic przeciwko temu, to pokaże ci kilka z nich.

Idzie do rogu pokoju i z szuflady masywnego biurka wyjmuje przedmiot przypominający do złudzenia obciętą rękę. Pyta, czy masz jakieś specjalne życzenie. Nie bardzo rozumiesz, o co mu chodzi, lecz on nalega, abys poprosił o „cokolwiek”. Prosisz więc o dolara. De Louri odpowiada z niesmakiem, że nie nosi przy sobie gotówki. Musisz wybrać coś innego. Wskazujesz na jego zegarek. Nie jest tym zbyt zachwycony, ale odpina go i umieszcza w sztucznej dłoni. Kładzie uciętą rękę na stole, a ta natychmiast rusza w twoją stronę. Obserwujesz, jak ręka, bzykając, zbliża się do krawędzi, chcesz ją złapać, lecz De Louri woła nerwowo, abys niczego nie ruszał. Ręka sama zatrzymuje się nad przepaścią.

Profesor, wyraźnie odprężony, obchodzi stół i zabiera zegarek. „Prawie każdy przedmiot, który pan tu widzi, nie jest tym, na co wygląda – mówi z uśmiechem iluzjonisty zadowolonego z występu. – Butelka szampana, która tam stoi, naprawdę jest świecznikiem,

ta oto armatka służy za młynek do pieprzu, leżąca obok kula jest solniczką. Rzecz jasna nie wszystko jest fałszywe... Weźmy chociażby tę ceramikę Picassa. – Wodzi palcem wzdłuż krawędzi talerza przedstawiającego Minotaura o purpurowych nozdrzach. – Uwielbiam wszystko, co narusza ustalony porządek: hermafrodytów, transwestytów...” – kończy załamującym się głosem.

Zauważasz, że profesor dotyka wszystkiego w zasięgu ręki, jakby bezustannie wyznaczając granice swego królestwa. Większość przedmiotów jest wypolerowana, ma wytarte krawędzie i nawet ściany na wysokości dłoni De Louriego pokryte są ciemnymi pasmami, które, pod pewnym kątem, lśnią fosforycznym blaskiem. Gdy profesor dotyka, wyraz jego twarzy zmienia się, łagodnieje; jego oczy promieniają błogością, a usta rozchylają się raz za razem. Tak jakby smakował przedmioty, połykał je swym dotykiem niczym wyrafinowany smakosz, sybaryta. Wyobrażasz sobie, że tuż przed udaniem się na spoczynek obchodzi pokoje, pozwalając opuszczać palców napawać się chropowatością i gładkością, chłodem i lepkością kształtów, które latami narosły na gzymsach, półkach, szufladach i ścianach, a teraz oprowadza cię po swoim domostwie jak po zakamarkach mózgu.

Docieracie do biblioteki, gdzie opowiadasz De Louriemu o zagadkowych spotkaniach ze szczurami, a on słucha cierpliwie, nawet ze zrozumieniem, i zdejmuje ci opatrunek z obolałego palca. Gdy naciska na ranę, jęczysz z bólu. Profesor każe ci usiąść na taborecie stojącym przy fortepianie, zdjęć marynarkę i podwinąć rękaw koszuli, sam zaś znika w przyległym pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rozglądasz się z zainteresowaniem; w porównaniu z salonem biblioteka wydaje się jeszcze bardziej zagracona. Każda półka, fotel, krzesło czy stół zarzucone są stertami książek i czasopism. Gruba warstwa kurzu świadczy, iż od niepamiętnych czasów nie tknęła ich

niczyja ręka. Tak jakby tam, gdzie je położono, wypuściły korzenie i rosły latami niczym drzewa.

De Louri wraca, niosąc stetoskop i najświeższe wydanie „New York Post”. Zostawia gazetę na biurku i z uprzejmym uśmiechem przystępuje do badania. Obmacuje palcami piekące rany, a ty przypominasz sobie program o tych, co twierdzili, iż są Jezusami. Rany na ich stopach i dłoniach podobno otwierały się dzięki sile ich myśli, a skoro ostatnio szczury tak często zaprzętały twą uwagę... Ani słowem nie wspominasz o tym profesorowi, który bada twoje serce, mierzy ciśnienie i siada za biurkiem, niemal ginąc za piramidą książek. W kompletnej ciszy słyszeć jedynie skrzyp pióra.

De Louri podnosi się z krzesła i zatroskanym głosem stwierdza, że nie dałby za to głowy, ale twoje rany rzeczywiście wyglądają tak, jakby pogryzły cię szczury. Nie jest wykluczone, że doszło do tego podczas snu; on sam pamięta podobne przypadki. Na koniec pyta, czy miewasz ostatnio „kłopoty sercowe”. Kręcisz głową. „Dziwny przypadek – dodaje profesor – bardzo dziwny... Sam nie wiem, co o tym sądzić. Wszędzie się teraz roi od szczurów... À propos. Miał pan w ręku dzisiejszą gazetę?” Znowu zaprzeczasz, a wtedy on sięga po gazetę i niechętnie zrzuca na podłogę książkę oprawioną w popękaną szarozieloną skórę.

Kłęką, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało, i oddycha z ulgą. „Niech pan tylko spojrzy – zwraca się do ciebie, zniżając głos tak samo jak w salonie – to wyjątkowa książka, kosztowała majątek”. Pokazuje ci jej połówki brzeg, ale nie zauważasz nic szczególnego. Jego palce lekko zaginają brzegi stronic, ukazując zakamuflowaną osiemnastowieczną rycinę. Przedstawia mnicha spółkującego z klęczącą kobietą. Chichocząc, De Louri pyta, czy domyślał się, co to jest, i nie czekając na odpowiedź, wskazuje na łaciński tytuł. „Książeczka do nabożeństwa” – wyjaśnia szeptem.

Profesor podnosi się z kłęczek i odkłada modlitewnik na biurko. „Wróćmy do naszych spraw – stwierdza zawodowym tonem. – Zapiśałem panu lekarstwo, które powinno zapobiec ewentualnemu zakażeniu, a także witaminy i pastylki nasenne. Musi pan dużo wypoczywać. Sądzę, że to panu pomoże, ale gdyby nie mógł pan przestać myśleć o szczurach, proszę nie zwlekać i natychmiast do mnie dzwonić”. Wręcza ci receptę i patrzy ukradkiem na zegarek, tak byś nie miał wątpliwości, że wizyta dobiegła końca. Ty jednak nie ruszasz się z miejsca. Narasta w tobie poczucie buntu.

„Czemu nikt nie walczy ze szczurami?” – wybuchasz w beznadziejnej złości. „A jak można z nimi walczyć?” – De Louri patrzy na ciebie z pobłażliwością, sięgając po egzemplarz „New York Post”. „Niech pan to weźmie i uważnie przeczyta. Jest tam historia, która z pewnością pana zainteresuje”. Wstajesz i dziękujesz za wizytę. Obiecujesz, że kupisz gazetę zaraz po wyjściu, lecz De Louri nie ustępuje. Wsuwa ci gazetę pod pachę, bo już ją przeczytał i nie ma sensu, abyś marnował trzydzieści centów.

Kilka minut później stoisz na ulicy obok rozkopanej budowy stacji metra i z niedowierzaniem czytasz sensacyjny artykuł zalecony ci przez profesora. Pod krzyczącym nagłówkiem SZCZURY ZAATAKOWAŁY KINO NA MANHATTANIE jest opis paniki spowodowanej pojawieniem się stada szczurów w kinie Baronet odległym zaledwie o trzy przecznice od twojego mieszkania. Mogły to być nawet te same szczury, które pokąsały cię nocą.

„W ciemności, podczas seansu – jak relacjonuje naoczny świadek – jakaś kobieta zaczęła krzyczeć, gdy poczuła, że szczury ocierają się o jej stopy. Wybuchła panika, a wystraszone stado rozpiechło się po widowni, wspinając się po nogach widzów i kąsając do krwi. Ludzie w popłochu rzucili się do ucieczki, blokując wyjścia i tratując się nawzajem. Kilka osób odwieziono do szpitala Lennox Hill ze śladami ukąszeń. Kobieta, która zemdlała podczas ucieczki, znajduje się w ciężkim stanie”.

Odczuwasz dziwną satysfakcję: a więc nie tylko ty padłeś ofiarą tych cholernych szczurów. Pomyślisz o Francuzie i jego oswojonym szczurze. Czy też został zaatakowany przez swoją puszystą maskotkę? Zgnieciesz gazetę i wrzucisz ją do pordzewiałego auta z wytłuczonymi szybami. Pozostawione między workami cementu a kupą żelastwa gnijące wewnątrz samochodu jest do połowy wypełnione śmieciami.

Nogi odmawiają ci posłuszeństwa. Tracisz równowagę i niemal osuwasz się na płyty trotuaru. Twoim ciałem wstrząsa bolesny spazm, a na czoło występują kropelki potu. Oddychasz z trudem. Po raz pierwszy uświadamiasz sobie, że naprawdę jesteś chory, a rany są o wiele głębsze, niż sądziłeś. Wizyta u profesora nie tylko nie pomogła, lecz pogorszyła twoje samopoczucie.

Udręczona wyobraźnia natychmiast podsuwa nowe, pełne okrucieństwa obrazy szczurów: ich pazury i kły rozdzierające tkankę skóry. Gdzieś w oddali Galia uśmiecha się, podczas gdy ty, uciekając przed szczurami, zapadasz się w piasek. Suche ziarnka zaklejają oczy, a gdy zaczynasz krzyżeć, wdzierają się gwałtownie do ust. Czujesz, że jest ci niedobrze. Wsuwasz głowę do samochodu i straszliwy odór rozkładających się śmieci wywołuje torsje. Ból staje się nie do zniesienia. Jesteś przekonany że rany na twoim ciele otworzyły się na dobre, a na koszuli i spodniach ujrzysz za chwilę rosnące plamy krwi.

Atak jednak przechodzi. Wyciągasz głowę z wraka samochodu i rozglądasz się wstydliwie. Wygląda na to, że nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Ruszasz więc powoli w stronę domu. Już masz skrócić w Drugą Aleję, gdy czyjaś dłoń dotyka twego ramienia. Odwracasz się i widzisz Chaima ubranego w dziwaczne palto.

Niezdolny do wypowiedzenia jednego słowa chcesz rzucić mu się na szyję, lecz Chaim patrzy ci w oczy tak, jakby czytał w nich coś, co go przeraża. Uśmiech gaśnie ci na wargach. Wstrzymujesz oddech, dopóki nie opuszcza swego wzroku i ledwie słyszalnym głosem pyta, czy nie chciałbyś znaleźć się gdzieś *ponad* miastem. Nie rozumiesz znaczenia jego propozycji, aczkolwiek instynktownie wiesz, że chodzi mu o taras na szczycie World Trade Center. Cóż bowiem może być wyżej „ponad” miastem niż to właśnie miejsce? Spytasz Chaima, czy się nie mylisz, ale on wzruszy ramionami bez słowa wyjaśnienia.

Gdy jedziecie trzęsącą się kolejką, milczysz, wpatrzony w ciemne, obrosłe liszajami graffiti ściany wagonu. Zastanawiasz się, dlaczego właściwie World Trade Center. Czy tylko dlatego, że wcześniej podsunąłeś mu taki pomysł? Może Chaimowi chodziło o coś innego? Chciałbyś zapytać go, ale uświadamiasz sobie, że przecież nie ma to żadnego znaczenia.

Przejmujący jęk saksofonu w podziemiach Times Square mrozi ci krew w żyłach. Niewidomy Murzyn gra zasłuchany w echo własnej muzyki. Przesiadacie się. W wagonie, do którego wchodzić, młody Portorykańczyk wiesza na uchwytych kolekcję tandetnych płaszczy. Do gablotki z mapą połączeń kolejowych przykleja zatłuszczoną kartkę z koślawo wypisanymi cenami. Widać, że liczby zmieniane były już wiele razy. Kończąc przygotowania, Portorykańczyk zachwala swój towar i nagabuje pasażerów, by skorzystali z wyjątkowej okazji.

Przekrzykuje łoskot kół, zapewniając zdartym głosem, że nie są to byle jakie płaszcze, albowiem pochodzą z najlepszych paryskich domów mody. Mimo braku zainteresowania nie traci nic ze swego polotu i pomiędzy trzema przystankami zaczepia każdego w wagonie, włącznie z tobą. Zostawia w spokoju tylko jedną osobę – Chaima. Mija go bez słowa, jakby w ogóle go nie było. Nie mógł przecież nie zauważyć jego dziwnego płaszcza.

Wysiadacie w podziemnym korytarzu World Trade Center. Na półpiętrze zawieszonym nad wyniosłą szklano-aluminiową nawą westybulu kupujesz dwa bilety. Dopiero gdy winda się zamyka i rusza z szybkością wgniatającą bębenki w uszach, nie wytrzymujesz i pytasz Chaima, w jaki sposób zdołał cię odnaleźć. „Zdawało mi się, że mnie potrzebujesz” – odpowie z uśmiechem, a prostota jego wyjaśnienia uspokoi cię. Winda unosi was w oszalamiającym pędzie, a w tobie wzbiera fala radości, wiesz bowiem, że jesteś z jedną osobą, która rozumie twój ból.

Numer 107 zapala się mlecznym blaskiem. Winda zwalnia, stalowe drzwi rozsuwają się bezgłośnie. Potężne niebo prześwietlone purpurą zachodu zalewa taras, na którym panuje niemal absolutna cisza. Przy wysokich oknach stoi kilkoro zwiedzających. Są zamyśleni, jakby przeniknięci gasnącym światłem i ogromem rozpostartego w dole miasta. Wypełnione zazwyczaj hałasem klaksonów, wyciem ambulansów, krzykami i gwizdkami portierów próbujących łapać taksówki, miasto z tej wysokości wydaje się nieme i skamieniałe, podobne do dna oceanu porośniętego symetryczną, prostopadłościenną roślinnością.

Spojrzenia patrzących płyną wzdłuż kanałów ulic i opływają szczyty wieżowców, by zatonać w mgłę widnokregu. Starsza para przechodzi z godnością przez środek tarasu. Trzymając się pod rękę, oboje mrużą oczy oślepione promieniami zachodu. Przypominają wiernych powracających na swoje miejsce po przyjęciu komunii w mistycznej katedrze miasta.

Kierujecie się z Chaimem ku wschodniej części galerii, tam gdzie niebo zaczyna zmierzchać, a w oddali zapalają się pierwsze drżące światła, które wirują wokół własnych osi. Zapada mrok. Zatrzymujesz się i patrzysz na biurowce śródmieścia. W oświetlonych oknach miniaturowi urzędnicy produkują dokumenty,

rozmawiają przez telefon lub siedzą w skupieniu za biurkiem. Ktoś szarpie zasłonę, jakby nie miał siły jej zaciągnąć. Przykładasz czoło do zimnej szyby i spoglądasz w dół.

Na dnie przepaści, pośród jarzących się latarni i sklepowych wystaw widać niezliczone czarne punkty. Chciałbyś zaczerpnąć świeżego powietrza, czując, że ziemia usuwa ci się spod nóg; jesteś niemal pewien, że owe punkty są cieniami szczurów, których całe stado wypełzły na ulice Manhattanu, i nigdy już nie będziesz mógł zjechać tam w dół, gdzie szczury rozszarpałyby cię na kawałki. Odwracasz twarz ku Chaimowi, a on mówi spokojnym głosem: „Szczury jedzą nasze dusze”, ty zaś nie masz wątpliwości, że potworne cielsko Manhattanu czyha na ciebie pod osłoną ciemności zastygłe w pozycji, w której wszystkie mięśnie są napięte, przygotowane do skoku. Rany na twoim ciele pulsują coraz mocniej, a ty, szeptem, zwierzasz się Chaimowi, jak bardzo nadal kochasz Galię i nie potrafisz o niej zapomnieć, jak bardzo boisz się szczurów i nie zniesiesz już bólu ich ukąszeń. W chwili gdy wymawiasz owe słowa mające jedynie odwlec wykonanie wyroku, Nowy Jork ukazuje ci swe przerażające oblicze.

Wylaniając się z gąszczu światła, wprost przed twoimi oczyma majaczy gigantyczne widmo rozżarzonego szkieletu. Manhattan już od dawna spoczywa w grobie, a ty możesz teraz dostrzec lśniący kręgosłup Piątej Alei, z którego sterczą fosforyczne żebra ulic i świetlane piszczelce alei. Widzisz nawet próżnię pozostałą po sercu w miejscu ciemnej plamy Central Parku. Promieniujące blaskiem ramiona szkieletu wyciągają się ku tobie, tak że nie masz już odwrotu. Falująca masa szczurów czeka cierpliwie na twoje ciało i tylko szklana ściana nie pozwala ci zrobić tego jednego, jedynego kroku. Chciałbyś wybuchnąć śmiechem, krzyczeć, zrobić cokolwiek, co przywróciłoby ci poczucie normalności, lecz śmiech zastęga ci w gardle i, zamiast krzyku, mamroczesz: „To niemożliwe, niemożliwe”.

Przejmujący ból nie ustępuje ani na moment, jakby miał trwać przez resztę życia. Nie masz przed sobą przyszłości innej niż strumień absurdalnych upokorzeń. Nie możesz przecież w nieskończoność miotać się, unikając ludzi i własnego mieszkania po to, by nie rozdrapywać ran. Nie masz nawet gwarancji, że rany zagoją się z czasem, a nawet gdyby, to i tak zostawią trudne do ukrycia blizny. Zawieszony nad miastem wierzysz, że wszystko w nim naznaczone jest piętnem śmierci i choroby, beznadzieją i lękiem przed wszechobecnymi szczurami i nawet bliskość Chaima nie jest w stanie cię ochronić.

Dlatego też z całych sił napierasz na szybę, pragnąc, by pękła i rozpadła się na kawałki, tak abyś mógł zanurzyć się w wiecznym śnie, gdzie nie będzie już szczurów ani krwawiących ran, niczego prócz kojącej pustki, lecz nie dajesz rady – szkło jest zbyt grube. Z twarzą groteskowo rozplaszczoną przeklinasz moment, w którym postanowiłeś tu przyjechać, nie pomyślawszy zawczasu o tej cholernej, przezroczystej przeszkodzie. Nie lepiej było ci wybrać wysokie piętro jakiegokolwiek wieżowca? Ale nie, ty wymarzyłeś sobie lot z najwyższego piętra miasta.

Gorączkowo poszukujesz jakiegoś sposobu na otwarcie okien, mocujesz się z aluminiową listwą framugi, gdy nagle w powietrzu rozlega się ów jedyny, przejmujący ton. Chaim, do tej pory w milczeniu schowany gdzieś za twymi plecami, przykładą kornet do ust i dmie weń z całych sił.

Chcesz spojrzeć na niego, lecz twoją uwagę przykuwa to, co dzieje się w dole, na ulicach miasta. Szczury pierzchają we wszystkie strony, jakby zaatakowane tajemniczą bronią. Przenikliwy ton rozcina niebo, dosięga linii horyzontu i krzepnie w drgającym powietrzu niczym promień nadziei.

Stoisz nieruchomo ze łzami w oczach, podczas gdy kilku turystów podchodzi i obrzuca cię natrętnymi spojrzeniami. Pod wpływem

dźwięku kornetu masz ochotę zatańczyć przed nimi. Zaczynasz kołysać się na ugiętych nogach niczym niedźwiedź w cyrku, lecz po chwili wstyd sprawia, że potykasz się niezdarnie i patrzysz z zakłopotaniem na Chaima. „Tańcz!” – zdają się mówić jego oczy. Ale łatwiej jest ci wyważyć szybę z framugi i stanąć twarzą w twarz ze śmiercią, aniżeli tańczyć przed ludźmi. „Czemu już nie grasz?” – pytasz mruklawie, a on odpowiada: „Bo jeszcze nie jesteś gotów”. „Ach tak” – mamroczesz i stopniowo odczuwasz ulgę, jakiej doznać może tylko ten, kogo ułaskawiono w ostatniej chwili. Pod ciężarem tego uczucia osuwasz się na ziemię.

Upadłbyś niechybnie, gdyby nie Chaim, który chwyta cię pod ramię i popycha do wyjścia. Z mozołem stawiasz kroki, jakbyś uczył się od nowa chodzić. Musisz złapać się poręczy, kręci ci się w głowie. „Nie wiem, czy dam radę” – mówisz ledwo słyszalnym głosem, a on odpowiada: „Dasz. Dotarłeś do dna. Teraz już tylko możesz wypływać”.

Kiwasz głową, nie bardzo wierząc jego słowom, a on spogląda ci prosto w oczy i mówi powoli, z naciskiem: „Ciemność nie jest przeciwieństwem światła, jest jego źródłem. Ziarno światła wyrasta z mroku”. Próbujesz uchwycić sens jego słów, lecz twój skołatany mózg nie jest w stanie niczego zrozumieć.

Za plecami Chaima widać New Jersey. W ołowianych wodach Hudsonu odbijają się podwójnym blaskiem latarnie doków Hoboken. Ponad rzeką fosforyczne ważki helikopterów zastygają przed urwiskiem Manhattanu, by łagodnym łukiem ominąć przeszkodę. Głębiej, odrzutowce nad Newark przędą tkaninę nieba promieniami swych reflektorów. New Jersey lśni mgłą światła tworzących gwiazdozbiory podobne do znaków zodiaku na suficie Grand Central, gdy nagle, tak jak i tam, światła zaczynają promieniować coraz jaśniej.

Chaim odwraca się i spogląda na skrawek pustyni u podnóża World Trade Center. Obszar srebrzystego piasku na olbrzymim placu budowy wygląda stąd jak powierzchnia Księżyca. Chaim uśmiecha się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz widząc twoje znużenie, bierze cię tylko pod ramię i prowadzi ku wyjściu.

Zanim wejdiesz do windy, dostrzeżesz daleką sylwetkę Statuy Wolności. Jej widok nie wywoła już w tobie bólu. Odległy prom przepłynie obok niej jak gwiazda spadająca wolno przez ciemne niebo zatoki.

Jesteś tak wycieńczony, że nie pamiętasz, jak dotarłeś do domu ani gdzie rozstałeś się z Chaimem. Czy na opuszczonym placu budowy koło World Trade Center? Przyzwyczaiłeś się już do jego niespodziewanych zjawień i zniknięć; ostatecznie spotykasz go zawsze wtedy, gdy potrzebujesz tego najbardziej.

Wybuchasz śmiechem na widok gazet pokrywających każdą powierzchnię twojej pustelni. Sprzątając ślady szaleństwa, odczuwasz głód. Nie przypominasz sobie, kiedy ostatnio jadłeś. Robisz kanapkę i siadasz w fotelu. Jesz powoli, smakując każdy kęs, i sięgasz po pilot telewizora. Przeskakując z programu na program, trafiasz na przemówienie prezydenta.

Jego wypomadowane włosy lśnią, gdy rozwodzi się nad trudną sytuacją w kraju. „Nie żądam, by ciężar deficytu składany był na barki amerykańskich podatników” – zapewnia stanowczo. Marszcząc brwi, popija łyk wody i przemawia dalej: „Nikt nie poniesie kosztów mojego programu gospodarczego. Nikogo nie zostawimy na lodzie, tak żeby musiał umierać. Ale czy fakt, że jakiś facet z South Succotash znalazł się chwilowo bez pracy, jest aż tak ważny, by trąbiono o tym w największych sieciach telewizyjnych kraju?!” Po kilku sentencjach w podobnym stylu stwierdza: „Bieda otwiera drzwi do kariery wielu ludziom!”

Zastanawiasz się, co on właściwie ma na myśli. Kończysz jedzenie i mógłbyś spokojnie położyć się spać, lecz gdy prezydent załamującym się ze wzruszenia głosem mówi: „Rozumiem słuszny gniew milionów obywateli Ameryki”, znika dźwięk. Usiłujesz go wyregulować, ale znika również obraz. A gdy walisz ręką w skrzynię obudowy, ekran rozjaśnia się tęczowymi pasmami planszy kontrolnej. Bez słowa wyjaśnienia. I zaraz gaśnie na dobre.

Kopiesz ze złością gazety rozrzucone po podłodze i siadasz ciężko w fotelu. Krótkie ożywienie zastępuje powracająca fala zmęczenia. Nie bardzo wiesz, skąd ta awaria. Może szczury przegryzły kable w telewizorze, który pozostawiłeś w łazience na straży mieszkania? Przychodzi ci do głowy, że warto by pozatykać wszystkie dziury w domu, ale jesteś zbyt zmęczony. Ostatkiem sił dowlekasz się do łóżka i zasypiasz, myśląc z goryczą, że nic nie wskazuje na to, by twoja choroba minęła.

27

Ze snu wrywa cię daleki dźwięk. Budzisz się, nie pamiętając, o czym śniłeś. W pokoju jest ciemno. Szukasz po omacku zegarka, który powinien leżeć na nocnej szafce, lecz go tam nie znajdujesz. W budynkach po drugiej stronie ulicy nie pali się ani jedno światło. Wsłuchujesz się w panującą wszędzie ciszę i odwracasz na drugi bok, czując, że znowu ogarnia cię senność. Dźwięk powraca. Otwierasz oczy.

Ledwie słyszalna, powtarzająca się melodia niesie ze sobą zapach dzieciństwa. Cichy refren podobny do kołysanki, którą nuciła ci matka. Unosisz głowę odurzony sennym wzruszeniem. Tych kilka nut dochodzących z oddali ma coś z niezwyklej czułości. Czułości dotyku.

Melodia dryfuje w powietrzu, zamierając i odradzając się. Miarowe takty refrenu brzmią niczym wołanie. Z trudem wygrzebujesz się z pościeli. Macając stopą, znajdujesz spodnie porzucone na podłodze. Wkładasz je. Ubierasz się po omacku i już wkrótce stoisz w korytarzu, czekając cierpliwie na windę.

Nadjeżdża z góry. Jej drzwi otwierają się i ukazują parę emerytów – twoich sąsiadów z siódmego piętra. Kłaniasz się i wchodzisz. Mężczyzna wita cię półgłosem, a jego żona milczy, wczepiając mu się mocniej w ramię. Z rękawa jego płaszcza wystaje postrzępiony

mankiet pizamy. Zastanawiasz się, gdzie wybierają się o tak późnej porze. Zajęty zgadywaniem nie zauważasz nawet, że winda staje na każdym piętrze i inni sąsiedzi wsiadają do niej bez słowa. A kiedy dojeżdżacie do parteru, portier wkłada uniform wprost na przepoczone podkoszulek, zdejmując czapkę z nieuczesanej głowy, kłania się i otwiera bramę.

Na ulicy czujesz lekki podmuch wiatru. Przywiewa dalekie echo muzyki. Wraz z grupą sąsiadów ruszasz w stronę Trzeciej Alei codzienną trasą wiodącą do najbliższej stacji metra. Jest ciepło i przyjemnie. Kątem oka dostrzegasz, jak zdyszany portier dołącza do was w pośpiechu. Zresztą nie on jeden; niepostrzeżenie grupa rozrasta się do kilkudziesięciu osób o równie zaspanych twarzach. Nic dziwnego, w końcu trudno oczekiwać, by ludzie wyrwani z łóżek w środku nocy mieli wypoczęte twarze i promieniowali energią.

Na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej rozpoznajesz znajomą sylwetkę profesora De Louriego. Maszeruje na czele innej grupki, mniej licznej niż wasza. Trzyma w ręku figurkę kobiety z hebanu i pieści ją bezwstydnie, jakby nie mógł się z nią rozstać. Kłaniasz się z daleka, ale jest tak zaabsorbowany swym fetyszem, że cię nie zauważa.

Grupy łączą się; kilka liczniejszych nadciąga od północy i wszystkie skręcają w dół miasta. Musisz przyznać, że pośród ludzi, z którymi idziesz, czujesz się bezpieczny. Ulatnia się gdzieś zwykła niechęć do przebywania w tłumie. Na rogu Sześćdziesiątej dostrzegasz ze zdumieniem, jak spod ściany podnosi się mroczna sylwetka żebraczki. Kobieta wstaje z trudem, zabiera skrzynkę, na której siedziała od wieków, i powłócząc nogami, dołącza do pochodu. Jej bezzębne usta wciąż mamroczą słowa niezrozumiałej litanii.

Pochód dociera do stacji metra, nikt jednak do niej nie wchodzi. Idąc Pięćdziesiątą Dziewiątą, mijacie kino Baronet i dochodzicie do Lexington Avenue, by znów kierować się ku śródmieściu. Wciąż

nowe grupy dołączają w zupełnej ciszy. Nowo przybyli sprawiają wrażenie skrępowanych, tak jakby nie wiedzieli, dlaczego się tu znaleźli i dokąd zmierzają. Wkrótce jednak otrząsają się z tego stanu i wyraz ich twarzy zmienia się, jakby swą obecność uznali za coś oczywistego.

Idziecie w spokoju i nie dzieje się nic szczególnego poza tym, że parę kroków przed sobą zauważasz barmana Karla. Potrząsając shakerem, wygląda na kogoś pochłoniętego przyrządzaniem wyjątkowego koktajlu. Dostrzegasz także blondynkę, która bawiła się z kotem w Ostatnim Wielorybie. Przesuwasz się w jej kierunku, ale idący najbliżej patrzą na ciebie z wyrzutem. Jesteś jedynym, który przepycha się wśród maszerujących w spokoju. Zawstydzony wracasz na swoje miejsce i, ku twemu przerażeniu, nie słyszysz już melodii. Nadstawiasz uszu, próbując wyłapać chociaż jedną nutę, ale bezskutecznie.

Przystajesz. Czujesz się zagubiony. Dopóki nie słyszysz ponownie delikatnego dźwięku nadlatującego znad kamiennych fasad domów. Ruszasz. Wsłuchany w melodię widzisz, jak coraz więcej świateł zapala się w oknach mijanych domów, a ich mieszkańcy wystawiają głowy i patrzą ze zdumieniem na przesuwały się w dole korowód. Wkrótce rozpoznajesz ich twarze na ulicy, gdy ubrani jedynie w piżamy i nocne koszule dołączają do was. Większość zdążyła narzucić coś na siebie, ale są i tacy, którzy wybiegają tylko w jednym bucie. Kilku z nich ciągnie kołdry i poduszki, jakby w nadziei, że znajdą lepsze miejsce do snu.

Nieopodal Głównej Synagogi dochodzicie do Park Avenue. Zajmujecie teraz oba pasma jezdni przedzielone pośrodku trawnikiem, po którym kroczy Hindus prowadzący swoją krowę. Mijając dyrekcje banków i zarządy korporacji, widzisz uzbrojonych strażników porzucających szklano-marmurowe posterunki. Nawet nie zamykają za sobą drzwi, gdy przyłączają się w pośpiechu.

Serce bije ci mocniej, zza rogu bowiem wyłania się szary fronton Waldorf Astorii. Obawiasz się tego miejsca; oddychasz z ulgą dopiero, gdy widzisz Laurę, która wybiega z obrotowych drzwi. Trzyma w ręku ciężką księgę meldunkową i poprawia w niej coś nerwowo. Uśmiechasz się do Laury i uśmiech nie schodzi ci z ust nawet wtedy, gdy za jej plecami pojawia się przygarbiona postać twego szefa. Idzie ze spuszczoną głową, trzymając ręce w kieszeniach, lecz jego ponura twarz rozjaśnia się powoli, a on sam czyni przyjazny gest w stronę Laury.

Z hotelu wybiega grupa Arabów, ciągnąc karawanę walizek z wielbłądziej skóry. Mężczyźni w kowbojskich kapeluszach wloką za sobą torby z cielęcych skór. Dostrzegasz Francuza wystrojonego w garnitur Yves St. Laurenta; wygląda tak, jakby właśnie wymknął się z eleganckiego przyjęcia, ale nie widzisz na jego ramieniu puszystej przyjaciółki. Mijasz już ciężką fasadę hotelu, gdy z bocznych drzwi wybiega Akido niosący miskę parującego ryżu, a zaraz za nim Sara ze swą nieodłączną miotłą i wiadrem. Rick Faldo pobrzękuje kluczami od mercedesa, drugą ręką podtrzymując Frau Helgę, która nie przestaje szeleścić skrawkiem pergaminu.

Cieszysz się widok tak wielu przyjaciół. Chciałbyś podejść do nich i przywitać się, ale wokół pojawia się tyle znajomych twarzy – i wciąż przybywają nowe – że masz trudności z wyborem. Ponadto melodia unosząca się nad głowami zmusza do milczenia, a ukryta w niej siła każe wszystkim tym, którzy dołączają do pochodu, zaniechać swych czynności, porzucić walizy, księgi meldunkowe, pergaminy, miotły i wiadra – i skupić się na kojącym dźwięku.

Budynek Pan Am wieńczący perspektywę Park Avenue powstrzymuje tłum. Niczym wody wezbranej rzeki kieruje ludzki strumień ku Piątej Alei pełnej zapachu gorących precli i lodowatej jasności sklepowych witryn z manekinami zamrożonymi w ich wnętrzu.

U podnóża Rockefeller Center, gdzie odlana z brązu rzeźba Atlasa dźwiga kulę ziemską, widzisz szejka w czarnej galabii, powożącego swym dwugarbnym rolls-royce'iem. Będzie pierwszym, który spróbuje dołączyć do pochodu, jadąc samochodem, i idący obok ciebie chudy mężczyzna w bawełnianej koszulce z napisem JEZUS UCZYNIŁ MNIE KOSZERNYM pośle ci wymowne spojrzenie. Zmuszony okolicznościami, szejka porzuci swego rollsa i podpierając się akalem dogoni pochód. Gromadka chasydów w czarnych kapełuszach zostawi swe kantory przy Diamond Row i wtopi się w tłum. A gdy do procesji dołączą aktorzy pobliskich teatrów, w otoczeniu swych garderobianych, agentów i klaszczącej publiczności, rzeka ludzi wypełni ciasno całą szerokość alei.

W głębi Czterdziestej Czwartej widzisz Neila Staintona. Pocąc się z wysiłku, pcha przed sobą stół z *Najeźdźcami z kosmosu*, ale gdy tylko dostrzega cię, porzuca swą cenną maszynę i rusza rażno w twoją stronę. Daje ci znak, byś na niego zaczekał, ale jego postać niknie w tłumie. W pobliżu Czterdziestej Drugiej Murzynka, którą poznałeś w porno kinie, rzuca się w kotłujący wir, a od strony Times Square nadchodzi Portorykańczyk niosący na plecach niesprzedane płaszcze. Obok niego kroczy niewidomy Murzyn z milczącym saksofonem. Idzie z wyciągniętymi przed siebie rękami, zasłuchany w przejmujący ton melodii, jakby usłyszał wreszcie nuty, jakich sam nie potrafił wydobyć ze swego instrumentu.

Mając u jednego boku kobietę o twarzy mężczyzny i włosach ukrytych pod siatką, a u drugiego sąsiadów z siódmego piętra, maszerujesz zdziwiony, że już od dawna nie widać jadących samochodów. Ani jednego. Jakby roztopiły się w mroku; jedynie te zaparkowane na chodnikach wybuchają sporadycznym jękiem alarmu, gdy otacza je zbyt ciasno ławica ludzi.

Zostawiacie za sobą dzielnicę domów mody, gdzie chłopcy na posyłki popychają wózki pełne ubrań, mijacie sprzedawców futer

i Koreańczyków z naręczami kwiatów pod strzelistą rakieta Empire State Building i maszerujecie, maszerujecie, maszerujecie, nie zatrzymując się. Rzędy witryn sklepowych odpływają za waszymi plecami; rozrzucone wokół gazety lgną do stóp niczym podwodne rośliny; miasto pochłania was coraz głębiej i głębiej, drżące światła ulicznych latarni zaś, niczym boje, wyznaczają brzegi ludzkiej rzeki, która faluje, kołysze się i wciąż przybiera, wypłukując z sąsiednich ulic coraz to nowe strumienie – aż do miejsca, gdzie Pięta Aleja zlewa się z Broadwayem i gdzie inna rzeka, większa nawet od waszej, wychodzi wam naprzeciw.

Zatrzymujecie się, wpadając na plecy sąsiadom, a ty, przyciśnięty do pomnika generała Wortha, obserwujesz, jak tłumy z Broadwayu i Piętej Alei mieszają się, zlewając w jedną gigantyczną rzekę, nie rzekę nawet, lecz morze, od strony Lower East Side bowiem torują sobie drogę fale Portorykańczyków o pomarszczonych twarzach i przerzedzonych włosach wysmarowanych brylantyną oraz Murzyni z Brooklynu, którzy powtykali grzebienie w kręcone włosy. Tuż przed tobą wyrasta Zuluska objuczona dywanem splecionym ze zużytych reklamówek. Rzuca na ciebie ukradkowe spojrzenie i wskazuje na łańcuch obrączek zwisających z jej nozdrzy, ale zaraz przesłania ją sylwetka chudego jak szczapa pijaka, ubranego w dziecięcy sweterek, spod którego wyłazi napęczniały brzuch.

Potop ludzi wypełnia przyległe ulice i szereg za szeregiem słychać narastający, głuchy pomruk. Tłum usiłuje powtarzać coraz głośniejszą frazę melodii, zaraz jednak milknie, zdając sobie sprawę, że melodia nie nadaje się do chóralnego śpiewu – zatem jej niezakłócone echo odbija się między murami opuszczonych domów, wypełnia powietrze rosnącą wibracją i narzuca porządek chaosowi zlewających się mas.

Robi się tak tłoczno, że nie potrafisz nawet odczytać nazw ulic, które mijasz. Instynktownie czujesz, że tłum unosi cię wzdłuż Broadwayu,

a gdy gromada szachistów napiera na ciebie twardymi pudłami do gry, domyślasz się, iż dotarliście w pobliże Washington Square.

Ogrzany gorącymi wyziewami garaży lądujesz na Lafayette, a potem na Mulberry, gdzie zapach parmezanu jest jedynym znakiem, iż doszliście do Little Italy. I rzeczywiście, parę sekund później opierasz się łokciem o zakurzoną szybę sklepiku, za którą stoi obramowane różowym neonem gipsowe popiersie papieża. Z pobliskiego kościoła pod wezwaniem św. Franciszka wysypuje się grupka braci zakonnych w sandałach, podczas gdy zza żeliwnych krat prowadzących do podziemi Prywatnego Klubu wybiegają mężczyźni z czarnymi wąsikami, objuczeni paczkami tanich papierosów z Karoliny Południowej.

Obezwładnione muzyką wasze nogi i ręce poruszają się coraz płynniej, a gdy przybędą Chińczycy, kłaniając się po tysiąc razy i niosąc ze sobą papierowego smoka w labiryncie Chinatown, zaczniecie kołysać się, wasze nogi zaś wykonają niespodziewane kroki. Tak. Będziecie tańczyć. Podskakując i płając, krzycząc i śmiejąc się, będziecie biec ku tej cudownej muzyce niczym w transie, nie wstydząc się swej śmieszności, pragnąc tylko być jak najbliżej dźwięków, które jednoczą was i goją rany.

W samym sercu Downtown spod kolumnady Magistratu zbiegnie po białych stopniach burmistrz miasta, a jego sekretarz poda mu długi nóż. Burmistrz uniesie go uroczystym gestem i z całych sił wbije w chodnik. Spod kamiennych płyt wytryśnie źródło, ale nikt nie zwróci na to uwagi, ufając bardziej magii muzyki aniżeli cudom burmistrza.

Tłum, powiększony jeszcze o fale ludzi napływających z Downtown, wejdzie tanecznym krokiem do dzielnicy bankowej, a ty, podskakując jak wariat w szalonym tańcu, ominiesz zwały biurów i zakurzonych akt, maszyny do pisania i segregatory i z uśmiechem

wykonasz podskok, krok do przodu, krok do tyłu, obrót, skłon, krok do przodu i nowy podskok, hop. Będziesz tańczył, tańczył, tańczył i chociaż przemierzyłeś tak wiele ulic, nie poczujesz zmęczenia i nie zobaczysz, by ktokolwiek ocierał pot lub zostawał w tyle. Przeciwnie: wraz z przebytą drogą minie znużenie, wraz ze zbliżaniem się do jądra tajemnej melodii ciała odrodzą się.

Brodząc w morzu urzędników, przepływacie całą Nassau, by dotrzeć do Wall Street, gdzie ukryta w mroku sylwetka kościoła spogląda z dołu na potęgę pieniądza. I tak jak korynckie kolumny Federal Hall kontrastują ze szklaną świątynią Chase Manhattan, tak samo kontrastują ze sobą wasze tańce: ognista rumba ze spokojną sambą, skoczna polka z wolną pawaną, lecz nie przeszkadza to waszym stopom deptać z równym impetem po wyrzucanych z okien stosach papierów wartościowych i banknotów, tysiące ludzi bowiem tańczyć będą z pasją na tej ulicy, na której nikt przedtem nie tańczył.

Kołysząc się i zataczając, mijacie Trinity Place i z uczuciem ukojenia przemierzacie Liberty Street. Wasze stopy lekko dotykają asfaltu i każdy spowolniony, niemal zawieszony w powietrzu taneczny krok staje się dotknięciem żywej substancji – tkanki ulicy pokrytej ranami pęknięć i bliznami kanałów. Tutaj zaś, gdzie słupy Herkulesa World Trade Center strzegą wstępu do nieznanego, dotrzecie wreszcie do piaszczystej pustyni, skąd emanuje ów magiczny dźwięk.

Zdejmiecie buty, a stopy wasze zapadną się w zimny piach. Wiatr znad rzeki przyniesie zapach oceanu, nastrój ceremonii zaś sprawi, że połączycie ręce w jeden nieprzerwany łańcuch i krok po kroku zbliżycie się do tego, który stoi pośrodku księżycowej pustyni i gra.

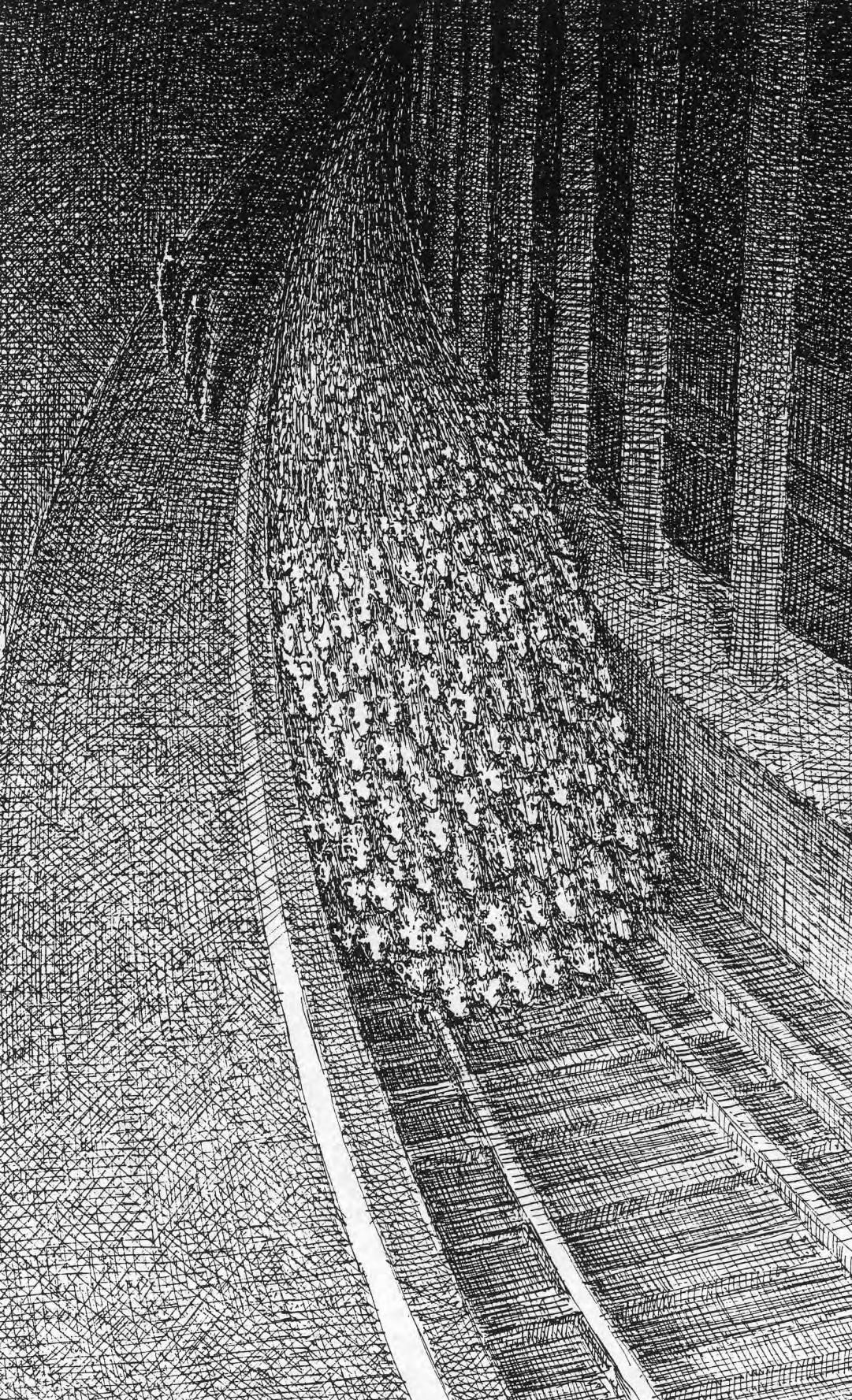
Ubrany jest w długi, żółto-czerwony płaszcz. Uśmiecha się, gdy otaczacie go ciasnym kołem, i dmie w swój kornet jeszcze mocniej.

Za jego plecami kolumny World Trade Center podtrzymują niebiosa i są jak dwa płonące skrzydła wyrastające z jego ramion.

Spoglądasz na okna ostatniego piętra; prawie niewidoczne stąd wąskie nacięcia na membranie ścian drżą echem wszechpotężnych nut. A ten, który potrafi wydobyć z kornetu tak przejmujący dźwięk, odwraca się i rusza powoli w stronę rzeki. I poprowadzi was, nie przerywając gry. A gdy woda obmyje wasze kostki, zatrzymacie się i zamkniecie oczy. I muzyka sprawi, że schylicie się i obmyjecie twarze.

Przesuwając zwilżone dłonie po policzkach, czujesz, jak wraz ze łzami spływa z nich pot lęku i brud minionych dni. I podobnie będzie z twarzami pozostałych. I pochylicie się na powrót, i nabierzecie wody w dłonie, tym razem, by obmyć oblicza tych, którzy stoją w pobliżu. Nie znasz ich ani nigdy byś nie poznał, albowiem dotykając twarzy, która jest przed tobą, po raz pierwszy dotykasz. Tak jakby oblicze drugiej osoby rodziło się z ciemności, by jaśnieć wewnętrznym światłem. Promieniować. Zmarszczkami i porami skóry. Ciepłem i uśmiechem. I nie będzie to już tylko twarz Galii, lecz twarze tych, których nigdy nie obdarzyłeś miłością. Albowiem odkryjesz miłość o wiele większą niż ta, która cię zniszczyła. I wiesz, że nie będzie to sen.

Nowy Jork 1983





Lech Majewski • UTWORY ZEBRANE

POWIEŚCI

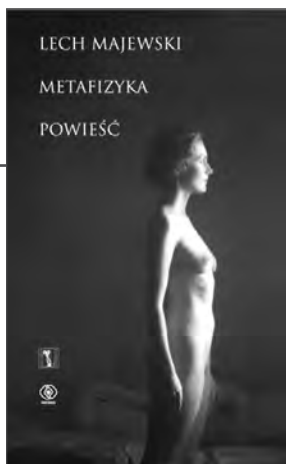


MANHATTAN BABILON

Apokaliptyczny thriller, którego akcja rozgrywa się na Manhattanie latem 2003 roku

METAFIZYKA

Powieść o miłości, wielokrotnie wznawiana i wciąż poszukiwana przez czytelników, która doczekała się ekranizacji pod tytułem *Ogród rozkoszy ziemskich*



HIPNOTYZER

Niezwykła powieść osnuta mgłą Wenecji, pełna grozy i tajemnicy, utrzymana w duchu literatury masońskiej i osiemnastowiecznych traktatów symbolicznych



PIELGRZYMKA DO GROBU BRIGITTE BARDOT CUDOWNEJ

Fantasmagoryczna opowieść o Hotelu, który istnieje w miejscu, gdzie krzyżują się różne rzeczywistości – historii, snu, marzenia i mitu

SZCZURY MANHATTANU

Utrzymana w tajemniczej aurze historia miłości i samotności portiera hotelu Waldorf Astoria, w której stany emocjonalne materializują się w agresję zwierząt, a ból po rozstaniu z ukochaną potęguje atak szczurów na Manhattan



KASZTANAJA

Debiut prozatorski Lecha Majewskiego. Opowieść o młodym górniku, Kasztanie, jego niemożliwych snach i zakończonej klęską próbie stworzenia raju na przekór ponurej rzeczywistości lat 70. ubiegłego stulecia. Powieść zekranizowana w Hollywood

ESEJE

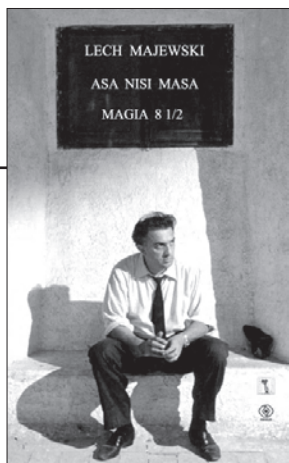
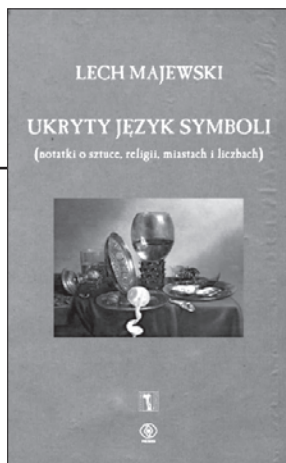


OFICJALNE CENTRUM ŚWIATA

Notatki, eseje i spostrzeżenia z doświadczeń życia i pracy w Nowym Jorku i w Hollywood, mieniące się barwnymi opisami gwiazd, z którymi autor miał styczność

UKRYTY JĘZYK SYMBOLI

Notatki o sztuce, religii, liczbach i miastach będące kanwą wykładów prowadzonych przez autora na różnych uniwersytetach na świecie – od Nowej Zelandii przez USA po Włochy

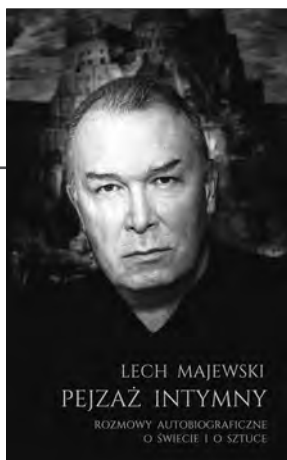


ASA NISI MASA. MAGIA 8 1/2

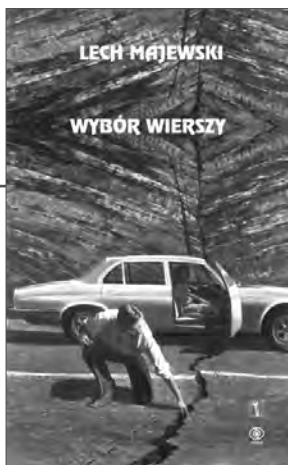
Analiza arcydzieła filmowego Federica Felliniego dotycząca jego fascynacji Jungiem, magią, telepatią oraz symboliką wody, ogniska domowego i tańca. Z unikatowymi fotosami z planu zdjęciowego

PEJZAŻ INTYMNY

Zbiór wypowiedzi artysty dotyczących głównych problemów jego sztuki oraz, w szerszej perspektywie, miejsca artysty we współczesnym świecie



WIERSZY I MINIATURY



WYBÓR WIERSZY

Wybór wierszy z czterech tomów poetyckich: *Baśnie z tysiąca i jednego miasta*, *Poszukiwanie raj*, *Mieszkanie* oraz *Muzeum mojej nędzy*. Oraz poemat *Św. Sebastian*

MARIACKA 5

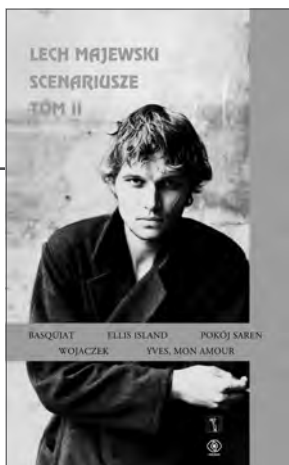
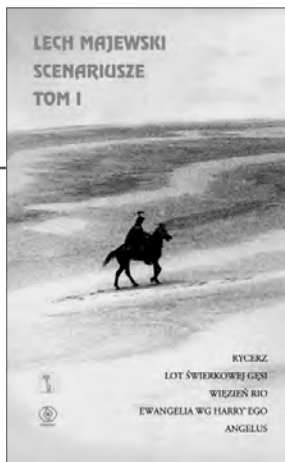
Przejmująca, tragikomiczna spowiedź starej ulicznicy z Katowic spisana w gwarze śląskiej z rysunkami Andrzeja Czeczota. Monodram



SCENARIUSZE

SCENARIUSZE TOM I

Rycerz
Lot Świerkowej Gęsi
Wieżień Rio
Ewangelia wg Harry'ego
Angelus



SCENARIUSZE TOM II

Basquiat
Ellis Island
Pokój saren
Wojaczek
Yves, mon amour

SCENARIUSZE TOM III

Beuys
Szkłane Usta
Ogród rozkoszy ziemskich
Młyn i krzyż
Onirica



Copyright © 1993 by Lech Majewski
All rights reserved

Copyright © 2017 for this edition
Narodowe Centrum Kultury, Angelus Silesius, Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

Wydanie trzecie
(wydanie pierwsze: Nowe Wydawnictwo Polskie 1993, wydanie drugie: DW REBIS 2004)

Opracowanie graficzne okładki: *Lech Majewski*

Ilustracje: *Janusz Kapusta*

Zdjęcie autora na okładce: *Marek Bielecki*

Redaktor prowadząca: *Katarzyna Flera-Iwaniuk*

Redakcja językowa: *Jarosław Ulman*

Skład i łamanie: *www.mairstudio.com.pl*

ISBN 978-83-7982-310-9

ISBN 978-83-9275-490-9

ISBN 978-83-8062-271-5

ISBN 978-83-8062-271-5



prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujemy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl



Narodowe Centrum Kultury
ul. Płocka 13
01-231 Warszawa
www.nck.pl
sklep.nck.pl



Stowarzyszenie Twórców
i Mecenásów Kultury i Nauki
ANGELUS SILESIIUS
al. Korfańtego 66/4
41-161 Katowice

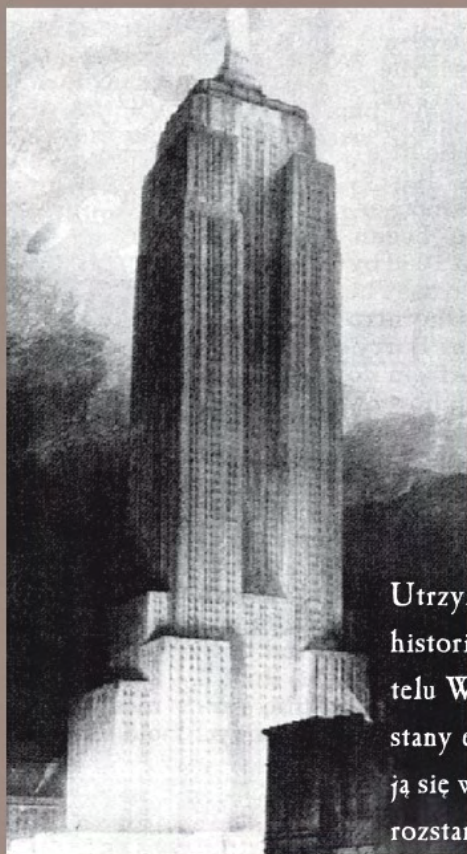


Dom Wydawniczy
REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49
60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08; 61-867-81-40;
fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Narodowe Centrum Kultury jest instytucją państwową
działającą na rzecz rozwoju kultury w Polsce.



Publikacja współfinansowana ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Utrzymana w tajemniczej aurze historia samotności portiera hotelu Waldorf Astoria, w której stany emocjonalne materializują się w agresję zwierząt: ból po rozstaniu z ukochaną potęguje atak szczurów na Manhattan. Jedyną nadzieją staje się Chaim, chłopiec ratujący miasto przed plagą jak w starej opowieści z Hameln.

ISBN 978-83-8062-271-5



9 788380 622715

Cena det. 35,90 zł



www.rebis.com.pl



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY